Jestem trochę Polakiem, ponieważ jestem wielojęzyczny

Z Marco Americo Lucchesim, brazylijskim poetą, naukowcem, eseistą, tłumaczem – rozmawia Aleksandra Ziółkowska-Boehm.



Marco Lucchesi, fot. arch. Aleksandry Ziółkoskiej-Boehm

Pasją Marco Americo Lucchesi jest poezja. Tłumaczył na język portugalski poetów takich jak: Nagib Mahfuz z Egiptu, Umberto Eco i Mario Luzi z Włoch, Paolo Dall' Oglio z Syrii. Lucchesi pięknie promuje poezję polską w Brazylii. Gdy był redaktorem naczelnym „Poesia Sempre", pisma Biblioteki Narodowej w Rio de Janeiro, w roku 2008 (Poesia Sempre, numer 30, rok 15 / 2008), ukazał się numer specjalny poświęcony właśnie polskiej poezji. Prowadził wykłady z literatury w Niemczech, we Włoszech, Francji. Jego książki zostały przetłumaczone na wiele

języków: od angielskiego po urdu i bangla. W języku polskim w tłumaczeniu Henryka Siewierskiego ukazał się jego tomik zatytułowany 21 wierszy (Tesseractum, 2021).

Aleksandra Ziółkowska-Boehm: Urodził się Pan w 1963 roku w Rio de Janeiro. Jak Pana włoska rodzina pochodząca z Toskanii znalazła się w Brazylii? W jakim języku mówiono w domu?

Marco Americo Lucchesi: Moja rodzina pochodzi z prowincji Lucca, z małego miasteczka Massarosa, położonego między morzem, górami i jeziorem Massacciuccoli. Miasteczko to kochał i często odwiedzał Giacomo Puccini. Moi rodzice znali się od dzieciństwa. Tak się złożyło, że podczas II wojny światowej nasze miasteczko zostało wyzwolone przez wojsko brazylijskie i w ten sposób również dalsze dzieje naszej rodziny zostały związane z Brazylią. Przede wszystkim dlatego, że mój ojciec otrzymał propozycję pracy w branży komunikacyjnej. Moja babcia ze strony matki również przybyła do Brazylii. Miał to być pobyt tymczasowy, ale w końcu ich prochy spoczęły na ziemi brazylijskiej. Na ziemi, która jest teraz dla mnie ziemią świętą. To wspomnienie przywołuje wiersz Miłosza: stare kobiety w kościele, ich straconą młodość, ich piękno, ich kruchość! W domu mówiliśmy po włosku, zaś po portugalsku tylko w szkole. Dlatego kiedy mówię po włosku, ludzie od razu rozpoznają mój toskański akcent.

Szkołę i studia (magisterium i doktorat z literatury, habilitacja z historii) kończył Pan w Brazylii. Jak Pan wspomina okres studiów?

Jako skok w świetliste głębiny! Jeszcze przed studiami na uniwersytecie pożerałem książki. Od dwunastego roku życia moi nauczyciele byli dla mnie oknem na świat. Oknem – ale nie przykładem. Czułem się jednakowoż nieraz samotny i starałem się zachować moją niezależność pomiędzy umiarem i belcanto. Historia przemawiała do mnie przez Heraklita, a literatura przez Parmenidesa. I jeden, i drugi byli dla mnie ważni. Nawiasem mówiąc, obecność klasyków, muzyki, pianina, Dantego jest esencją śródziemnomorskiego *joie de vivre*. Do dziś wysoko cenię historię filozofii i nie potrafię obyć się bez perspektywy przeszłego czasu.

Skąd u Pana pasja i zapał do znajomości języków obcych? Czyta Pan i porozumiewa się w językach: porugalskim, włoskim, niemieckim, francuskim, angielskim…

I w jeszcze kilku innych. Być może to kwestia genów: mój dziadek ze strony ojca był poliglotą. Ponieważ jestem wielojęzyczny, to być może jestem także trochę Polakiem. Żartuję – moja znajomość języka polskiego jest tylko pasywna, niemniej podczas spotkania w Stowarzyszeniu Polskich Pisarzy i brazylijskiej Akademii Literatury udało mi się wygłosić krótkie

przemówienie po polsku. Nauka języków obcych to nałóg, którego nie potrafię się pozbyć. Ale teraz już uczę się mniej intensywnie, bo zaangażowałem się w wiele projektów literackich i muzycznych. Być może to wszystko wynika z mojego dwujęzycznego pochodzenia i wychowania, a także z tego, że wyznając miłość, czynię to w dwóch językach. Pewnego razu, odwiedzając więźniów, poznałem Rumuna i mówiliśmy po rumuńsku. Na pożegnanie uściskal mnie serdecznie, bowiem tam, w więzieniu, stał się, jak mówił, sierotą własnego języka. Nigdy nie zapomnę tego spotkania! Słowa potrafią być aniołami lub demonami, zależnie od naszego wyboru.

Jak zaczęła się Pana nauka języka polskiego?

Mój pierwszy kontakt z językiem polskim zawdzięczam znajomym, Józefowi Lutkowi i jego żonie. Byłem bardzo młody, gdy zacząłem uczyć się tego niezwykłego „spotkania" spółgłosek i osobliwego nosowego dzwięku. Dźwięku, który pozwala odkryć, jak starodawny on jest wśród języków słowiańskich. No i oczywiście postać Jana Pawła II, która mi otworzyła inne horyzonty. Nauka rosyjskiego z kolei pomogła mi pogłębić i rozszerzyć słownictwo. Przede wszystkim zostałem oszołomiony wielkością poezji Mickiewicza, Różewicza, Herberta i Miłosza. Szczególnie zaś powieściami i dramaturgią Gombrowicza. Oczywiście również i wielu innych pisarzy, ale wspominam tu tych, którzy zaprowadzili mnie do księgarni w Paryżu. No a

potem był Assimil i moja pierwsza podróż do Krakowa. Jakże pamiętna!

To z wczesnej nauki gry na fortepianie, śpiewu, języków obcych wyniósł Pan tak głębokie i szczególne przygotowanie do „wejścia w dorosłość”?

Języki obce pozwalają zrozumieć świat i umożliwiają opowiedzenie o jego pięknie, jego tajemnicy, nadziei i okrucieństwie. Język jako taki jest filozoficznym sposobem na to, by zrozumieć wszystko, co nieuchwytne. Jest dla mnie, powiedziałbym, wokalnym tembrem, akcentem, cegłą wieży, której już nie ma. Z tego punktu widzenia *langue* i *parole* może też być odebrane jako śpiew chóralny. Głosząc takie prawdy, mam na myśli utwory Gombrowicza czy „Wesele”, ale także dzieła Brunona Schulza. Każdy język jest poetyckim systemem samym w sobie. Każdy język zasługuje na swojego poetę. Obecnie tłumaczę tureckiego poetę Yunus Emre ze słownika osmanli.. Zachwycam się wspaniałymi, dźwięcznymi głoskami: jak ü, jak polskie ł i nosowy dźwięk ą! Tajemnice orkiestry – dla mnie boskiej.

Do głosek dochodzi muzyka.

Jak wspomniałem, to drugi z moich nałogów. Zawsze uwielbiałem grać na pianinie. Nie jestem wirtuozem, ale staram

się grać jak najlepiej i codziennie ćwiczę. Śpiewanie jest również moją wielką pasją. Codziennie śpiewam moje ulubione arie i inne pieśni operowe, które znam na pamięć. To wszystko krąży w moich żyłach. Innym moim przyjacielem obok pianina jest teleskop. Bowiem: studiuj gwiazdy i pentagram, albo czytaj gwiazdy w pentagramie Cycerona, muzykę w niebieskich globach. Jednak w rzeczywistości chodzi o sprawy o wiele prostsze… Mój ojciec był bardziej „geometryczny", a moja mama bardziej „liryczna". Jakże wielką radość przeżywam wciąż ulokowany pomiędzy – z jednej strony gwiaździstym niebem, a z drugiej czarnymi klawiszami…

Rozmawiała Aleksandra Ziółkowska- Boehm.

Wywiad ukazał sie [w:]: ODRA, Wrocław, grudzień 2022 str. 72-73.

Zobacz też:

> Historia lubi się powtarzać

> Moja fotografia jest przedłużeniem życia

Brylant. Część 1.



Exton House, seria malowniczych widoków arystokratycznych, wiejskich siedzib Wielkiej Brytanii, XIX w., ilustracja książkowa,

autor: F.O. Morris, źródło: wikimedia commons

Wojciech Wilczyński *(Warszawa)*

I

Już było po wszystkim. Ustał stukot kół powozów na wybrukowanym podjeździe pałacu. Przed jego frontem ucichło rżenie koni i gwar rozmów. Zamknięto potężną bramę wjazdową, a zgrzyt zatrzaskiwanych zamków był ostatnim donośnym dźwiękiem, który rozległ się wśród zapadających ciemności. Gaszono po kolei światła, najpierw w alejach parku, następnie te bliżej pałacu, na wjeździe i przy wejściu. W końcu nastała zupełna cisza. Kilkanaście breków i coupe stało w powozowni, albowiem część uczestników ceremonii i stypy udała się na nocleg do zawczasu przygotowanych sypialni. Hol i schody wiodące do pokojów na piętrze oświetlało chybocące światło niewielu świec, które pozostawiono na czas wietrzenia. Przez uchylone okna wydostawało się przegrzane powietrze, pomieszane z dymem cygar, świec, ciężkim aromatem kwiatów, perfum i zapachem naftaliny, który jeszcze przed chwilą rozsiewały futrzane płaszcze gości opuszczających westybul.

Siedział przy biurku w gabinecie. Nadszedł wreszcie ten dawno planowany moment, gdy mógł – przez nikogo nie niepokojony, zgodnie z ostatnią wolą ojca, wysunąć tajną szufladkę sekretarzyka i otworzyć ukrytą w nim skrytkę. Dowiedział się o

niej podczas ostatniej rozmowy z nim, gdy wszystkim nakazał wyjść z sypialni i pozostali bez świadków. Wkrótce potem utracił z ojcem kontakt. Senior rodu leżał bez świadomości przez wiele dni. Po podniesieniu ozdobnego okucia znajdującego się na froncie, jedynego, które nieoczekiwanie nie było przytwierdzone na stałe, mechanizm blokujący sekretną, niewielką szufladkę uległ zwolnieniu. Jego oczom ukazała się zalakowana koperta z odciśniętą pieczęcią ojca. Widniał na niej wykaligrafowany jego ręką tekst: *Sir Edward Cunningham, mój syn, do rąk własnych* i na odwrocie podpis – *Philip Cunningham*. Edward wyjął kopertę. Zobaczył pod nią czerwone sukno, przysłaniające cztery przegródki. W trzech leżały rodzinne pierścienie. Rubiny i szmaragdy otaczały arystokratyczny rodzinny herb. Słyszał o ich istnieniu, ale wiedza o miejscu ich ukrycia otoczona była tajemnicą. To, co zobaczył w czwartej przegródce, wprawiło go w zdumienie. Brylant ogromnej wielkości błysnął pięknymi szlifami w migoczącym świetle świec. Takich rozmiarów brylantu jeszcze nie widział, ani w bogatych kolekcjach, ani w najznamienitszych firmach jubilerskich. Usiadł w krześle z wysokim oparciem, stojącym obok sekretarzyka. Złamał pieczęć i otworzył kopertę. W środku był list napisany na jednej kartce. Edward rozprostował dwa zagięcia listu i położył go przed sobą.

> Drogi Synu Edwardzie !

Gdy czytasz ten list nie ma mnie w świecie żyjących. Mam cichą nadzieję, że będzie mi dane, choćby z daleka, móc przyglądać się Wam wszystkim i cieszyć się Waszymi radościami. I wspierać Was, gdy zajdzie taka potrzeba.

Pragnę Ci podziękować za miłość i troskę jakie mi okazałeś w ostatnich miesiącach. Kolejny raz przekonałem się, że jesteś moim godnym następcą i cenimy sobie te same nadrzędne wartości: Boga, honor i ojczyznę. Wierzę, że pozostaniesz im wierny. Teraz przed Tobą zaszczytne zadanie kontynuowania
naszych tradycji. Dbaj, proszę, o wszystkich bliskich i zarządzaj naszym majątkiem tak, by nikt nie cierpiał, nie czuł się pokrzywdzony. Mam tu na myśli nie tylko naszą rodzinę. Także oddaną nam służbę. Poświęcają nam swoje życie, są wierni i pracowici. Bądź tym samym dobrym chłopcem, z którym spędzałem chwile na zabawie i tym samym mężczyzną, którego zalety poznałem nie tylko podczas polowania, ale i w życiu codziennym. Życzę Ci, byś znalazł siły, które nie tylko pozwolą na utrzymanie obecnego status quo, ale dadzą naszemu wspaniałemu rodowi impuls do rozwoju. Wiem, że założysz szczęśliwą rodzinę.

W szufladce, którą znalazłeś, są herbowe pierścienie, mające blisko trzysta lat. Chroń je jak źrenicy oka. Są symbolem niezłomności naszego rodu i powinny być wsparciem

duchowym dla jego następnych pokoleń.

W jednej z przegródek jest brylant. Nie należy do naszej rodziny. Historia jego w naszym domu nie jest długa. Sięga początku wieku, gdy toczyliśmy wojnę z Napoleonem. W 1804 roku, mój serdeczny Przyjaciel, wysoki rangą oficer królewskiej marynarki, przekazał mi go z prośbą o przechowanie. Okręt, na którym służył, wypłynął wraz z admirałem Horatio Nelsonem, by w bitwie morskiej przechylić ostatecznie szalę wojny na naszą korzyść. Wielkie zwycięstwo w 1805 roku uradowało króla Jerzego III i cały naród.

Mój Przyjaciel nie zaznał tej radości. Zginął od strzału francuskiego marynarza pod Trafalgarem. Prosił, by na wypadek śmierci przekazać brylant jego potomkom. I ja złożyłem Mu przyrzeczenie. Mamy już 1820 rok, a ja, niestety, przez piętnaście lat nie spełniłem Jego prośby. Byłem zbyt zaabsorbowany naszymi sprawami, a ostatnio brakowało mi już sił. Na Ciebie ceduję ten obowiązek i wiem, że w moim imieniu, spełnisz obietnicę, którą złożyłem Przyjacielowi.

Jego imię brzmi : Thomas Cambridge, z Londynu, oficer marynarki w stopniu kapitana. Zginął pod Trafalgarem dnia 21 października 1805 roku. Dane znajdziesz w aktach Royal

> Navy.
>
> Zostańcie wszyscy z Bogiem.
> Twój zawsze kochający ojciec
> Philip Cunningham
> Ashbourne, 11 marca 1820.

Po dłuższej chwili Edward ostrożnie zamknął szufladkę, a list ojca umieścił w biurku. Poczuł się zmęczony. Uroczystość i mowy pożegnalne trwały długo. Część rodziny i przyjaciół pozostała na nocleg. Musiał wydać dyspozycje na jutro.

II

Minęło kilka dni, podczas których wszystko powoli wracało do normy. Edward kontynuował zapisy w księgach finansowych, ordynował wykonanie prac. Poczuł się bardzo samotny. Uświadomił sobie, że choć przez ostatnie miesiące sam załatwiał większość spraw, fakt obecności ojca działał pozytywnie na jego psychikę. Matka odeszła przed trzema laty i teraz on – jedyny syn i spadkobierca całego majątku – został zupełnie sam.

Po tygodniu postanowił zająć się sprawa brylantu, by spełnić wolę ojca. Napisał list do Londynu, w którym przedstawił swój problem zaufanemu Przyjacielowi Jeremy’emu Scottowi. Pominął

jednak informację o tym, co było przedmiotem, który ma do przekazania rodzinie Thomasa Cambridge. Jeremy nie zbagatelizował prośby Edwarda. Długo nie czekał na jego odpowiedź. Jeremy odpisał, że odwiedził siedzibę Royal Navy i posiada wydane przez archiwum dane adresowe rodziny Thomasa Cambridge. Nie był pewien, czy ma sam dalej zajmować się sprawą, czy też lepiej byłoby, co zresztą sugerował, żeby Edward przyjechał do Londynu. „Sam zdecydujesz jak postąpić" – pisał – „w zależności od sytuacji, bo jest to delikatna sprawa".

Tak dawno nie był w Londynie. Perspektywa spotkania z Jeremy'm i kilkoma innymi bliskimi znajomymi, nie wyłączając dalszej rodziny u której z pewnością znalazłby gościnę, wydała mu się kusząca. Doszedł do wniosku, że oderwanie się na jakiś czas od domu wyjdzie mu na dobre. Żyje samotnie i nie bywa w towarzystwie. Nie chciałby zostać starym kawalerem. A w bliskiej i dalszej okolicy, wśród ludzi jego stanu, nie widział żadnej młodej kobiety, która podobała by mu się do tego stopnia, by chciał poświęcać jej swój czas. A co dopiero związać się na stałe. Następnego dnia odpisał więc, że przybędzie do Londynu piątego maja, za trzy tygodnie. Nocować będzie u wuja, a u Jeremy'ego zjawi się następnego dnia około dziesiątej. Dodał, że chciałby spotkać wspólnych przyjaciół, pytając, czy może mu pomóc w tej kwestii.

Edward cieszył się na ten wyjazd. Nawet ojciec bywał w Londynie częściej, ostatni raz przed trzema laty, tuż przed nagłą śmiercią matki. Do diaska, mam już trzydzieści siedem lat, pomyślał, coś mi się od życia należy. Rodzice wciąż nalegali, by bywał wśród ludzi, a on zaszył się w lasach Ashbourne jak lis w norze. Bieżące sprawy przekazał ekonomowi. Wziął dwie walizki, pieniądze na pobyt i podróż, parasol, kilka drobiazgów, portrecik rodziców i notes, w którym były imiona, nazwiska i adresy znajomych oraz list – główny motyw wyjazdu. Jazda zajmie mi z tydzień, pomyślał i niewiele się pomylił.

III

W Londynie Edward zatrzymał się u wuja, który przyjął go bardzo serdecznie. Na czas pobytu zamieszkał w dwóch salonach i sypialni z łazienką. Wuj nie pytał go na jak długi czas zamierza pozostać w Londynie. Cieszył się, bo nareszcie miał okazję posłuchać opowieści o rodzinie i zmianach w majątku Ashbourne. I to z najlepszego źródła.

Nazajutrz około dziewiątej Edward ruszył pieszo na spotkanie z Jeremy'm. Jadąc dorożką nie mógłby przyjrzeć się uważnie zmianom, które dokonały się w stolicy. Zadziwiły go liczne nowe domy z witrynami sklepów, porządek na ulicach i przede wszystkim ogromny ruch. Szedł z Paddington przez Edgeware Rd i dalej Oxford Street, która zmieniała się w prawdziwą

arterię. Do Greys Inn Lane nie miał daleko i przed dziesiątą był na miejscu. Jeremy czekał na niego z herbatą, ale na przywitanie podał mu szklankę szkockiej. Przy herbacie zrelacjonował mu własne dokonania, zaskakując Edwarda swoją dociekliwością. Okazało się, że rodzina Thomasa Cambridge przeniosła się do Dorking w hrabstwie Surrey.

– To wieś właściwie – powiedział Jeremy – z początkami zabudowy miejskiej. Znajduje się niedaleko, zaledwie dwadzieścia kilka mil na południe od Londynu. Moja służąca Elisabeth pochodzi stamtąd. Edward, nie masz wyjścia, musisz tam jechać. Zresztą to piękne miejsce. Jak mi powiedziała Elisabeth, Dorking jest usytuowane między dwoma wzgórzami Box Hill i Leith Hill. A posiadłość, którą dość dawno temu kupiła rodzina Cambridge, jest położona w pobliżu miasteczka. Służąca przepytała swoje przyjaciółki, które lepiej znają tę okolicę i powiedziały, że to wielka winnica z niezbyt dużym domem. Nosi nazwę Crystal House.

Edward słuchał jego słów, nie mogąc się nadziwić w jaki sposób Jeremy zdołał zgromadzić tyle cennych informacji. A to wcale nie był koniec jego monologu, bo uzupełnił swoje wieści o istotne szczegóły.

– W posiadłości mieszka żona Thomasa – Emma Cambridge, z córką Karoliną. Mają nieliczną służbę.

Edward spojrzał przez okno na rosnące w sadzie jabłonie, obsypane białymi kwiatami. Wiosna wkroczyła tu na całego, nie to co u nas, na północy – pomyślał, a w Surrey , chodź to niedaleko, jest z pewnością jeszcze piękniej.

Jeremy z Edwardem spożyli wczesny lunch, podczas którego omówili londyńskie plany – z kim i gdzie mogliby się spotkać. Edward zaskoczył Jeremy'ego nagle podjętą decyzją, gdy oznajmił:

– Czekaj na mnie mój drogi, jutro wyjeżdżam do Dorking. Najpierw załatwię sprawę, a potem będę się udzielać towarzysko, tak będzie lepiej.

Jeremy chciał oponować, bo na jutro mieli umówione spotkanie, ale widząc jego determinację, ustąpił, i zaproponował:

– W takim razie mój stangret jutro rano zabierze cię powozem z Paddington. Dojedziecie na miejsce pod wieczór albo późnym popołudniem, jeśli nic się nie przydarzy. Nie mogę Ci towarzyszyć, mam pilne sprawy. Myślę, że dwa dni na miejscu w Dorking okażą się wystarczające. Dzisiaj mamy wtorek, więc kolację przygotuję na sobotę wieczór. Zrobię wszystko, by zjawili się: Eleonora, Sheridan i jeszcze ktoś, kto bardzo pragnie Cię zobaczyć, ale cicho sza. To ma być niespodzianka.

IV

Przed ósmą czterokołowy, lekki faeton zajechał po dom wuja. Edward pierwszy raz widział dwuosobowe, resorowane i zadaszone buggy. Zabrał tym razem niewielką walizeczkę i przede wszystkim list ojca. Przez całą drogę obmyślał co powie na powitanie i jak usprawiedliwi swoje najście, wszak była to niezapowiedziana wizyta. Nie żałował swojej decyzji, lepiej mieć tę sprawę za sobą – pomyślał – załatwię w tydzień coś, czego ojciec nie zdołał uregulować przez piętnaście lat.

Pogoda im sprzyjała, słońce świeciło z lewej strony nie oślepiając stangreta, który powoził wyjątkowo sprawnie. Po drodze zaledwie cztery razy stanęli na krótkie postoje, by nakarmić i napoić konie. Posiłek zjedli w przydrożnej gospodzie. Odniósł wrażenie, że z każdą milą świat pięknieje, bo w Surrey zieleń i kwiaty przysłoniły niemal wszystko. Wielobarwne prostokąty rozpościerały się na łagodnych wzgórzach niczym czarodziejskie dywany. Lekkie buggy miękko płynęło po drogach spowitych intensywnymi zapachami kwiatów i łąk. Niechybnie by zasnął, gdyby nie wspaniałe, zmieniające się co chwila panoramy Surrey i widoki zapierające dech w piersiach.

W Dorking wskazano Edwardowi drogę do Crystal House. Do majątku rodziny Cambridge dotarli pół do czwartej. Posiadłość

nie był ogrodzona. Aleja dojazdowa wyłożona drobnym brukiem prowadziła na podjazd przed niezbyt okazałe wejście do domu, wsparte na dwóch kolumnach. Powitała ich korpulentna niewiasta w fartuszku i białym czepku na głowie.

– Panowie do kogo ? – usłyszeli na powitanie.

– Do Pani Emmy Cambridge. Nazywam się Edward Cunningham, jestem z Ashbourne. Jadę z Londynu, w pilnej sprawie. Nie zdążyłem uprzedzić Pani Cambridge o moim przyjeździe.

– Pani nie ma. Pojechała z córką doglądać winnice, powinny wrócić na podwieczorek, o piątej. Pan pewnie zmęczony drogą, proszę do salonu, przygotuję herbatę. Zechce Pan wejść. Proszę spocząć na kanapie, zaraz podam herbatę.

Mężczyzna w zielonym fartuchu, prawdopodobnie ogrodnik, skierował faeton do stajni, znajdującej się poniżej domu.

– Żona przygotuje Panu herbatę, proszę za mną, – powiedział do stangreta.

Edward wszedł do domu i od razu zobaczył portret przystojnego, młodego mężczyzny w mundurze kapitana marynarki, wiszący na ścianie w obszernym holu, naprzeciwko wejścia. Któż inny miałby to być, jak nie szlachetny Thomas Cambridge – pomyślał,

siadając z ulgą na kanapie. Miał za sobą wiele dni podróży i zmęczenie dawało o sobie znać.

V

Po herbacie z biskwitami nie oparł się drzemce, którą przerwały odgłosy kroków dobiegające z holu. Szybko wstał i ujrzał dwie kobiety zmierzające w jego kierunku. Lekko zaspany odchrząknął i przedstawił się:

– Nazywam się Edward Cunningham, jestem synem sir Philipa Cunninghama z Ashbourne.

– Miło mi – odpowiedziała starsza z kobiet, jestem Emma Cambridge – i podała mu rękę, dodając: – to moja córka, Karolina. Wzrokiem i ruchem głowy wskazała młodą osobę stojącą obok. Edward jej również podał rękę.

– Pragnę Panią gorąco przeprosić za niezapowiedzianą wizytę. Byłem w Londynie i postanowiłem nie zwlekać z odwiedzinami w Dorking. Spełniam życzenie mojego zmarłego niedawno ojca.

– Nic nie szkodzi, że zjawił się Pan bez uprzedzenia. Poznałam kiedyś Pana ojca, był przyjacielem mojego męża Thomasa. Proszę przyjąć gorące wyrazy współczucia.

Po przywitaniu zrobiono przerwę, podczas której wskazano Edwardowi jego pokój. Zanim usiedli do podwieczorku zdążył umyć się i założyć wyjściowe ubranie. Panie przebrały się i niezapowiedziany przybysz mógł teraz podziwiać je w całej okazałości. Tocząc rozmowę z Emmą, patrzył jak urzeczony na Karolinę. Nigdy nie widział tak pięknego dziewczęcia, a właściwie kobiety. Kręcące się mocno włosy częściowo przysłaniały jej delikatną buzię. Mogła mieć nie więcej niż osiemnaście lat. Emanowała świeżością i wdziękiem, a uroku dodawały jej naturalne ruchy i gesty, świadczące o wrażliwości i umiejętności przekonywania. Edward zauroczony Karoliną niemal zapomniał o celu swojej wizyty.

– Otóż – zaczął, gdy pili drugą filiżankę herbaty, mój ojciec uważał Pani męża, kapitana Thomasa Cambridge za swojego najlepszego przyjaciela. Pół roku przed bitwą pod Trafalgarem spotkali się i Pani mąż wręczył mu na przechowanie pewien przedmiot, który ojciec zobowiązał się przekazać potomkom kapitana w przypadku, gdyby ten poległ. Niestety, mąż Pani poniósł honorową śmierć w walce z Francuzami. Ich zginęło tysiące, a naszych marynarzy zaledwie kilkuset w wygranej przecież bitwie. Przeznaczenie sprawiło, że po tylu latach to mnie przypadło w udziale poinformować Panie o zobowiązaniu ojca i liście.

– Co to za tajemniczy przedmiot, szanowny panie, proszę nam

powiedzieć.

– To wspaniały brylant, o którym dowiedziałem się z listu mojego ojca, proszę, oto ten list. Jest wprawdzie skierowany do mnie, ale nie ma w nim niczego, co powinno pozostać dla pań tajemnicą. Matka i córka z wielkim przejęciem czytały treść listu. Nie mogły opanować zdziwienia.

– Co za niesamowita historia! – powiedziała Emma.

Mina Karoliny świadczyła, że silnie przeżywa tę wiadomość. Gdy ojciec udał się na wojnę miała zaledwie dwa lata i niczego z tego okresu nie pamiętała. Znała go jedynie z opowiadań, ze szkiców i portretów. A tu zjawia się przystojny Pan Edward z Ashbourne i po tylu latach przywozi wieści od ojca – pomyślała. Od ludzi, którzy go szanowali. Patrzyła z podziwem na Edwarda. Skoro jej ojciec i jego ojciec byli przyjaciółmi, to i on jest moim i mamy przyjacielem – pomyślała.

Podwieczorek przemienił się w kolację. Resztę wieczoru spędzili przy winie wspominając ojców i opowiadając ciekawe historie obu rodzin. Emma wspomniała, że przed pięcioma laty, na początku czerwca, rodzice Edwarda, będąc w drodze do Brighton, spędzili jedną noc w Crystal House. Była to niespodziewana wizyta. Pamięta uroczy, wzruszający wieczór, i wspomnienia pana Philipa o Thomasie. Edward był zupełnie

zaskoczony.

Wiem, że byli w Brighton – powiedział, ale o wizycie w Crystal House nigdy nie wspomnieli. Zamilkł na chwilę, bo uświadomił sobie, że ojciec miał wtedy możliwość przekazania brylantu. Jedynym wytłumaczeniem mogła być nieprzewidziana wcześniej zmiana trasy, przez co wizyta nastąpiła przypadkiem pomyślał. Przez chwilę ta informacja nie dawała mu spokoju. Na następny dzień zaplanowano wycieczkę po posiadłości, której perłą były winnice, założone przez dziadka Jakuba, ojca Thomasa.



Część 2:

> Brylant. Część 2.

Wojciech Wilczyński



Urodzony w Warszawie. Absolwent SGH. Pisze i wydaje książki od 2012 roku. Pracował na różnych stanowiskach i w kilku zawodach. Był urzędnikiem państwowym, managerem w handlu zagranicznym, szefem budów za granicą, prezesem firm handlowych, biegłym sądowym, tłumaczem dokumentacji technicznych, z-cą dyrektora instytutu. Poza Polską mieszkał 12 lat, wśród innych kultur, ludzi z różnych środowisk społecznych i zawodowych. Posługuje się językami obcymi: hiszpańskim, rosyjskim, angielskim i niemieckim. Od 2018 roku na bazie WordPress prowadzi polsko-hiszpańską stronę autorską z której można pobrać w wersji ebook pięć książek, opowiadania, prozę poetycką, a także reportaże. Na YouTube uruchomił kanał z własnymi opowiadaniami: wojciech wilczynski nowele – liczba audiobooków przekroczyła czterdzieści. Współpracuje z licznymi organizacjami polonijnymi, m.in. Radiem Polonia Montreal Kanada. Wszystkie książki autora ukazały się w wersji papierowej. Pojawiają się co roku na

licytacjach WOŚP, dostępne są w ofercie antykwariatów internetowych i na allegro.

Najważniejsze jest współczucie

Rozmowa z Anną Taborską, córką wybitnych polskich humanistów, mieszkających w Londynie – o rodzicach i wartościach wyniesionych z domu.



Anna Taborska

Joanna Sokolowska-Gwizdka *(Austin, Teksas):*

Pani Anno, jest Pani córką osób niezwykle zasłużonych dla polskiej kultury i nauki. Pani mama to prof. Halina Taborska, filolog, filozof, historyk sztuki, wykładowca akademicki. Pani tata to teatrolog, tłumacz, poeta i krytyk literacki. Obydwoje urodzili się przed wojną. Proszę opowiedzieć, z jakich rodzin pochodzili, jak się poznali...

Anna Taborska *(Londyn):*

Pani Joanno, serdecznie dziękuję za zaproszenie na rozmowę o moich rodzicach. Miło mi bardzo u Państwa gościć.

Moja mama urodziła się w Puławach, pochodziła z rodziny szlacheckiej. Jej mama, Natalia, była nauczycielką, a tata pochodził z francuskiej rodziny. Gdy wybuchła wojna wstąpił do wojska polskiego. Mama miała dwie ciocie i trzech wujków, jednego zamordowali bolszewicy, drugiego Rosjanie we wrześniu 1939 roku, trzeciego zabił snajper niemiecki podczas walki o Kościół Świętego Krzyża w Warszawie 23 sierpnia 1944 r.

Mój tata urodził się w Toruniu. Pochodził z rodziny o tradycjach powstańczych i wojskowych. Oboje dziadkowie zginęli w Powstaniu Styczniowym, jego ojciec był legionistą i oficerem artylerii, walczył w dwóch wojnach światowych. Podczas II wojny uciekł z transportu do jednego z obozów katyńskich. Przeżył wojnę. Mama mojego taty, Irena, była stomatologiem, działała w konspiracji, została zamordowana przez Niemców w 1944 r. Tata jako nastolatek wstąpił do AK, walczył w Powstaniu Warszawskim na Mokotowie, był ranny.



Bolesław Taborski



Bolesław Taborski ze swoją mamą Ireną

*

Jak to się stało, że zamieszkali na Wyspach Brytyjskich?

Po upadku Powstania Warszawskiego, mój tata został wywieziony do obozu jenieckiego w Niemczech, w Sandbostel, koło Bremy. W kwietniu 1945 r. obóz wyzwolili Brytyjczycy (Gwardia Walijska). Przez pół roku po zakończeniu wojny

przebywał w obozach byłych jeńców, po czym poszedł do Liceum Polskiego w Lubece, gdzie zdał maturę w 1946 r. Koniecznie chciał wracać do Polski, ale stamtąd przychodziły złe wieści, m.in. o aresztowaniach Akowców, więc postanowił pojechać do Włoch i wraz z Armią Generała Andersa dotarł do Anglii. Po dziesięciu miesiącach w obozie dla uchodzców został przyjęty na uniwersytet w mieście Bristol, gdzie studiował teatrologię i anglistykę.

W Polsce zapanowała wtedy głęboka stalinowska noc, więc tata postanowił zostać w Anglii i przeniósł się do Londynu, gdzie brał udział w polskim życiu społecznym i literackim. Wraz z innymi początkującymi poetami założył pismo literackie, „Merkuriusz Polski", a potem jego kontynuacją było pismo „Kontynenty". Działał też w organizacjach społecznych, był wice-prezesem zrzeszenia studentów i absolwentów polskich na obczyźnie. Coraz więcej pisał, był recenzentem teatralnym w tygodniku „Życie", pisał do paryskiej „Kultury", zajmował się publicystyką. W 1957 r. wydał swój pierwszy tomik wierszy „Czasy Mijania". W tym czasie odbył też pierwszą po wojnie podróż do Polski.

Znajomi poprosili tatę, by zawiózł przesyłkę dla ich koleżanki, która przygotowywała się do doktoratu na Uniwersytecie w Warszawie. Była to moja mama, która wcześniej, pomimo świetnych wyników w szkole i zdania bardzo dobrze egzaminu wstępnego, miała duże problemy z dostaniem się na studia z

powodu „niewłaściwego” (czyli szlacheckiego) pochodzenia, jak również dlatego, że nie chciała wstąpić do ZMP (Związek Młodzieży Polskiej), ani deklamować wierszy wychwalających Stalina. W każdym razie, zainterweniował mamy kolega ze szkoły (który był w ZMP) i w końcu poszła na studia, a potem robiła doktorat u profesora Władysława Tatarkiewicza na Uniwersytecie Warszawskim. Tu właśnie szukał jej mój tata, ale wciąż się mijali, aż wreszcie spotkali się na ulicy Puławskiej, którą mama szła ze wspólnym znajomym.



Halina i Bolesław Taborscy, lata 60-te

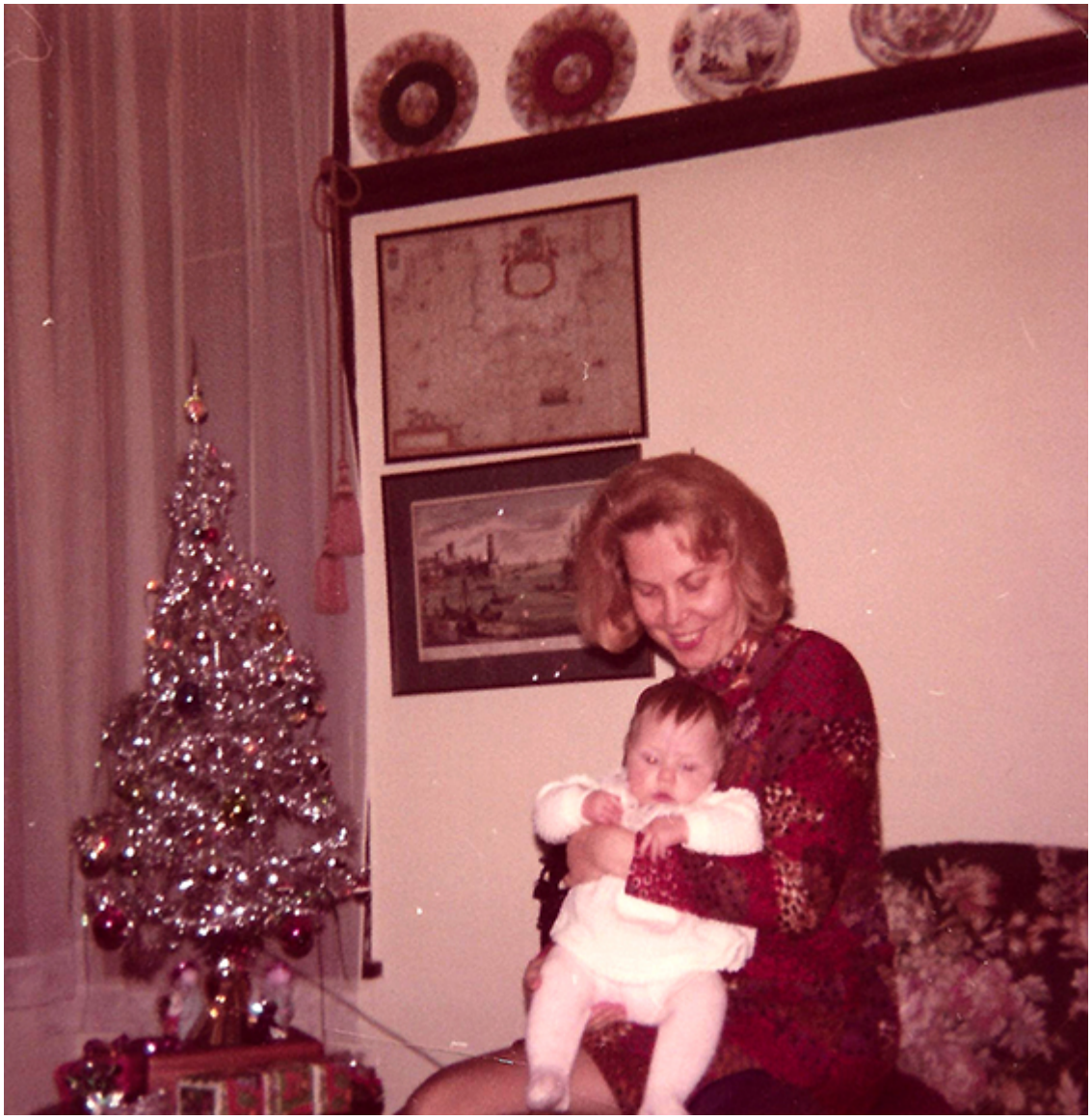
Tata zakochał się od pierwszego wejrzenia i zaprosił mamę do teatru, a potem na kolację, gdzie bardzo mamie zaimponował, bo zapytał ją czy chce zjeść deser, co „zbiło ją z nóg”, jak

wspominała prawie pół wieku później, „bo w tamtych studenckich czasach nie było pieniędzy na desery”. Moi rodzice oboje mieli „słodki ząb”, jak to się mówi po angielsku. Po tym pierwszym pobycie w Polsce tata wrócił do Londynu. W tym okresie Polska Sekcja Radia BBC ogłosiła konkurs na pracę etatową, na którą kandydował i został przyjęty. W BBC chciano, żeby pracę zaczął od zaraz, ale on uważał, że musi jak najszybciej, jeszcze w tym samym roku, odbyć drugą podróż do Polski i namówić mamę na wyjazd do Londynu. Przekonał ją, że w związku z tym, że pisała pracę doktorską o współczesnej estetyce brytyjskiej, powinna przyjechać do ich wspólnych przyjaciół do Londynu i wtedy będą mieli okazję spędzić więcej czasu razem.

Podróżowali razem sporo po Anglii, a po paru miesiącach pobytu mamy w Londynie, czyli po roku już w sumie znajomości, pobrali się. Nie była to dla mamy łatwa decyzja, bo nie chciała zostawić swojej mamy, mojej babci Naty, samej w Polsce. Jak ja się urodziłam, to Nata przyjechała i mieszkała z nami przez kilka lat w Londynie. Kiedy lekarze powiedzieli jej, że jest zbyt chora i delikatna, żeby podróżować, to postanowiła wrócić na koniec życia do Polski.



Bolesław Taborski z Anią i ze swoim ojcem Józefem



Halina Taborska z Anią w domu jej rodziców chrzestnych, 1969 r.

*

Urodziła się Pani w Anglii, ale świetnie posługuje się Pani językiem polskim. Czy w domu rozmawiało się po polsku?

Bardzo dziękuję za komplement, Pani Joanno, ale chciałabym o wiele lepiej mówić i pisać po polsku! W domu rozmawiało się po

polsku. Przez pierwsze lata mojego życia mieszkała z nami właśnie mama mojej mamy, Nata, która uczyła mnie polskiego, a że pochodziła z Kresów, to podobno jak byłam mała, mówiłam z pięknym kresowym akcentem. Niestety od dawna go nie mam. Zresztą, rodzice stwierdzili, że abym tak naprawdę była w stanie nauczyć się i zapamiętać język polski, to powinnam mieć styczność tylko z tym językiem zanim pójdę do angielskiej szkoły. Tak więc, do czwartego roku życia znałam właściwie tylko język polski, a angielskiego uczyłam się dopiero w przedszkolu. Lekcje języka polskiego kontynuowałam w polskich szkołach sobotnich: najpierw w szkole dla dzieci od 5 do 16 lat, a potem w szkole maturalnej dla młodziezy od 16 do 18 lat, gdzie do matury z języka polskiego (a właściwie z literatury polskiej) przygotowywała nas moja mama. Dawała nawet wszystkim swoim uczniom korepetycje u nas w domu i muszę się tu pochwalić, że zdałam na piątkę!

Jak wspomina Pani swój dom rodzinny?

Mój dom rodzinny był pełen miłości, życzliwości, tolerancji, wzajemnego szacunku. Jak byłam mała, mama śpiewała mi, a babcia i tata czytali mi książki (moje ulubione to: „Dar Rzeki Fly", „Przygody Baltazara Gąbki", „Mniejszy Szuka Dużego", „Groszek i Natalia", „Cyryl, gdzie jesteś?", „Uwaga! Czarny Parasol!" i „Kubuś Puchatek").



Rodzina Taborskich z babcią Natą, lata 70-te

Tato przed snem nosił mnie po całym domu na ramionach; nazywało się to „runda honorowa” – bardzo to lubiłam. Jak zasypiałam, to do snu towarzyszyły mi cichutkie dźwięki muzyki klasycznej i stukania maszyny do pisania z gabinetu taty (tata do końca życia pisał na Olimpii z lat 1950-tych). To też bardzo lubiłam.

W szkole podstawowej, rodzice interesowali się jak miałam zadanie domowe. Pomagali mi, gdy musiałam pisać wypracowania. W pierwszej klasie szkoły średniej pamiętam jak musieliśmy napisać wiersz z punktu widzenia drugoplanowej postaci z „Hamleta”. Nauczycielce i uczniom nie podobał się mój wiersz, ale mój tato powiedział mi, że sam byłby dumny z siebie, gdyby napisał ten wiersz. Ten epizod wszystko zmienił i dał mi

wiarę w siebie i w to, że to, co piszę ma wartość. Teraz myślę czasem o tym, jak bardzo musimy się liczyć z naszymi słowami, szczególnie w stosunku do dzieci i osób młodych, niepewnych siebie i swojej wartości.

Gdyby nie słowa mojego taty, gdyby zakodowały się we mnie tylko słowa nauczycielki i koleżanek, to prawdopodobnie zrezygnowałabym z pisania i nie byłabym teraz pisarką. Później też tata zawsze miał coś dobrego do powiedzenia o moich opowiadaniach. Mama z kolei, zawsze miała uwagi jak poprawić moje prace, co należałoby wyrzucić, co można dodać. I ta „konstruktywna krytyka" od mamy też ogromnie mi pomagała. Mama zawsze jako pierwsza czytała moje opowiadania, jak tylko kończyłam je pisać. Bardzo mi tego teraz brakuje.





Boże Narodzenie u Haliny i Bolesława Taborskich w Londynie

Proszę opowiedzieć, jak wyglądały Święta Bożego Narodzenia w Pani domu, czy obchodzona była Wigilia, czy święta miały polski nastrój?

Święta spędzaliśmy z przyjaciółmi – ze Zbyszkiem i Magdą Czajkowskimi i ich dziećmi (Zbyszek był zaraz po wojnie w klasie maturalnej z tatą w Lubece, a wcześniej służył pod komendą

Krzysztofa Baczyńskiego w Powstaniu Warszawskim), lub z Czesławem i Danusią Kamińskimi i ich córką (Czesław służył w Pierwszym Korpusie u Generała Maczka). W Wigilię chodziliśmy do nich, a oni w pierwszy dzień Świąt przychodzili do nas. Słuchaliśmy kolęd nagranych na kasetę, a nastrój był jak najbardziej polski. Czasem po Wigilii tato brał mnie na Pasterkę.

Pani mama wykładała na ponad 30 uczelniach, w tym na Oxfordzie czy Harvardzie. Jak godziła obowiązki domowe, jaką była mamą?

Nie wiem jak to robiła, że tak ciężko pracowała, była świetnym pedagogiem, a zarazem wspaniałą, cudowną mamą. Na pewno pomagało to, że jej mama, Nata, opiekowała się mną w ciągu dnia, gdy ona i tata byli w pracy. Ale i tak codziennie znajdowała dla mnie czas, tak jak i mój tata. Miałam wspaniałe dzieciństwo, zawsze byłam otoczona miłością. Oprócz rodziców i babci, miałam też kochanych rodziców chrzestnych (też Polaków), wybitnego chirurga ortopedę Mirosława Vitali i jego żonę, dentystkę, Marię, tak zwaną Bubę, którzy mieszkali parę domów dalej. Jak myślę o swoim dzieciństwie, a szczególnie o swoich rodzicach, to często robi mi się smutno, bo chciałabym, żeby każdy na świecie miał tak dobrych rodziców jak ja.

Czy mieszkaliście razem z mamą w Ameryce, wtedy, gdy mama pracowała w USA?

Mama pracowała w Ameryce okresowo. Z tego, co pamiętam, to nigdy nie wyjeżdżała na dłużej niż parę miesięcy. Ja wtedy zostawałam z babcią, albo z tatą. Jak miałam dwanaście lat (było to już po śmierci mojej babci), gdy rodzice oboje wykładali w Stanach w okresie letnim, to byłam z nimi. Wtedy głównie tata wykładał, a mama woziła mnie po całych Stanach i pokazywała mi piękne i ważne miejsca – Grand Canyon, Niagara Falls, California Redwoods, San Fransisco, Washington D.C., Chicago. Przez jakiś czas mieszkaliśmy w malutkim mieszkanku w Nowym Jorku, razem z kotką Spark, która, jak wszystkie koty, uwielbiała mojego tatę. Byliśmy we trójkę, m.in. w Muzeum Holokaustu, które zrobiło na mnie ogromne i szokujące wrażenie. Na moje trzynaste urodziny byłyśmy same z mamą u kuzynów taty w Chicago (tata wtedy wykładał) i pamiętam, że mama kupiła mi sandałki (różowe), i poszłyśmy na lody i do kina na film Spielberga „E.T.”.



Halina Taborska

Pani tata, jako kilkunastoletni chłopiec brał udział w Powstaniu Warszawskim. Prowadził dzienniczek, w którym zapisywał wydarzenia z każdego dnia walk. Czy w domu rozmawiało się o wojnie, o Powstaniu?

W domu nigdy nie mówiło się o wojnie. Choć czułam pewien podtekst. Np. mama bardzo się bała jak wychodziłam wieczorami z przyjaciółmi. Zawsze czekała na wiadomość ode mnie, żeby mogła przyjechać pod taki czy inny dom po imprezie i odwieźć mnie do domu. Myślę, że to wywodziło się z tego, że najpierw, jak miała 5 lat, to jej tata wyszedł z domu i nigdy nie wrócił (był ranny na wojnie, przeżył, ale już nigdy do Polski nie wrócił), a później, zaraz po wojnie, rosyjski wywiad porwał jej mamę, Natę, i przez ponad rok wszyscy myśleli, że nie żyje. O przeżyciach wojennych rodziców zaczęłam się dowiadywać jak już byłam

dorosła i właściwie musiałam wyciągać z nich te informacje.

Obydwoje Pani rodzice byli naznaczeni wojną. Wojna pojawiała się w poezji taty, mama przez 25 lat pracowała nad projektem, który zakończył się publikacją „Sztuka w miejscach śmierci". Czy uważa Pani, że Pani zainteresowanie horrorem, w postaci nagradzanej prozy czy reżyserii filmów z tego gatunku, wywodzą się ze wspomnień wojennych rodziców?

Myślę, że moje zainteresowanie horrorem wywodzi się właśnie z przeżyć, o których się nie mówiło w domu, ale które gdzieś tam tkwiły w podświadomości, gdzieś głęboko pod powierzchnią radosnego, słonecznego, pełnego miłości domu.

Pomimo tego, że rodzice skutecznie chronili mnie w każdy możliwy sposób, to jednak widzę jaki ten świat jest, co ludzie potrafią zgotować innym ludziom, i to mnie przeraża. W świecie, który już sam z siebie gotuje nam choroby, klęski i wypadki, nie mogę zrozumieć do czego potrzebna jest jeszcze nienawiść i przemoc jednych ludzi w stosunku do drugich. Myślę, że praca dla BBC nad serią o Auschwitz i rozmowy z ludźmi, ktorzy przeżyli obóz, lub byli świadkami innych wynaturzeń II Wojny Światowej, nie polepszyła mojej opinii o świecie.



Halina i Bolesław Taborscy, lata 80-te

Czy jest coś ważnego, co chciałaby Pani dodać na temat rodziców?

Moi rodzice byli wielkimi humanistami, poświęcili życie pomagając innym, uważali, że każdemu należy się szansa i pomoc.

Mama wykształciła całe pokolenia młodych ludzi, uczuliła ich na piękno, właściwie stworzyła dziedzinę studiów sztuki publicznej.

Pomagała też przez wiele lat różnym rodzinom w Polsce, wspierała je finansowo i woziła im różne rzeczy. Jak już Pani wspominała, mama pracowała na różnych „wielkich" uczelniach, a po przejściu na emeryturę również na malutkim, niezależnym Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (PUNO) w Londynie, najpierw wykładając, a w latach 2011-2017 jako rektor. PUNO było bardzo bliskie mamy serca, włożyła w nie dużo czasu i energii. Na szczęście, obecny rektor PUNO, profesor Włodzimierz Mier-Jędrzejowicz, którego mama bardzo lubiła i ceniła, jest również wielkim humanistą i kontynuuje tradycję uczelni. Pozwolę sobie podać Państwu link do strony najmniejszego na świecie polskiego uniwersytetu, którego korzenie sięgają II Wojny Światowej:

Mój tato wspierał młodych twórców, poetów, reżyserów, sprowadzał polskie zespoły teatralne do Londynu i do Edynburga na festiwale, między innymi Kantora i Grotowskiego, budował mosty między Polską a Wielką Brytanią tłumacząc wybitne dzieła literatury z polskiego na angielski i z angielskiego na polski. Był niezmiernie dobry dla ludzi, kochał zwierzęta. Nigdy nie przeszedł obojętnie obok bezdomnego człowieka, czy zwierzęcia.

Pomimo niespotykanej łagodności, tato był stanowczy, jak w coś wierzył to szedł za własnym sercem, nawet gdy go to wiele kosztowało (zresztą, moja mama też). Po śmierci Stalina, gdy już mógł odwiedzać Polskę bez obaw o represje, postanowił

wydawać swoją poezję właśnie w Polsce, pomimo, że miał możliwość drukowania wierszy w Anglii. Jego decyzja oburzyła znaczną część polskiej emigracji londyńskiej, ale tato głęboko wierzył, że właśnie Polacy żyjący pod opresją komunistyczną najbardziej potrzebują poezji, sztuki, wkładu twórczego i intelektualnego oraz dialogu z rodakami za Żelazną Kurtyną. Spotykał się także z poetami, studentami i czytelnikami, czytał im swoje wiersze, dając im dużą radość i poczucie, że nie są całkowicie odizolowani od światowej kultury. Do końca życia był za to krytykowany, a ja jestem z niego ogromnie dumna. Chciałabym być taka dzielna jak on i zawsze iść za własnym sercem, słuchać swojego sumienia pomimo kosztów, jakie się ponosi za własne przekonania.

Pani Joanno, jestem niezmiernie Pani wdzięczna za możliwość powspominania trochę o moich cudownych rodzicach. Jeśli pozwoli Pani, to zakończmy wierszem taty, który moim zdaniem podsumowuje podejście moich rodziców do świata i do ludzi:

> Współczucie
>
> najważniejsze jest współczucie
>
> dla wszystkiego co na ziemi

ludzi zwierząt i też roślin

skał mórz i znów mówię: ludzi

ono czyni życie znośnym

a jego brak odczłowiecza

weźmy sprawców Holocaustu

sługi diabła na tej ziemi –

udawali że są ludźmi

ba – nadludźmi – byli niczym

nie wiedzieli co współczucie

10.04.06

Z tomiku Bolesława Taborskiego „Plan B. Wiersze 2004-2006”,

Wydawnictwo Adam Marszałek, Toruń 2007 r.

*

Fotografie pochodzą z archiwum rodzinnego Anny Taborskiej

---

*

Filmy Anny Taborskiej:

*

Zobacz też:

> Dużo roboty z tym papieżem

Prof. Halina Taborska ur. w 1933 r. w Puławach, zm. 2021 r. w Londynie. Blisko 65 lat jej kariery naukowej w dziedzinie sztuki, filozofii i estetyki wywarło nieoceniony wpływ na kształtowanie się wizerunku Polski, polskiej kultury i sztuki na świecie. Wiele jej projektów badawczych z zakresu sztuki w przestrzeni publicznej ma kontynuację we współczesnych badaniach humanistycznych i kulturowych, ukierunkowanych na postrzeganie relacji między człowiekiem a miejscem. Inicjatywy naukowe zajmujące się m.in. analizą form artystycznych w przestrzeniach miast europejskich odwoływały się do tego związku. Były to projekty: „Sztuka publiczna i architektura w nowych i regenerowanych zespołach miejskich Europy"; „Sztuka i katharsis – Pomniki Ofiarom II Wojny Światowej"; „Studium kształtowania współczesnego krajobrazu kulturowego Warszawy", „Współczesna sztuka publiczna na otwartych przestrzeniach Anglii", „Kultura artystyczna w procesach rewitalizacji miast europejskich". Prof. Taborska przez wiele lat prowadziła w Anglii wykłady i seminaria z zakresu historii sztuki XIX i XX wieku oraz historii idei w Camberwell College of Art i Roehampton Institute of Higher Education, oraz sztuki rosyjskiej i radzieckiej na Uniwersytecie Oksfordzkim. Wykładała także na ponad dwudziestu amerykańskich uniwersytetach, w tym na

Uniwersytecie Harvarda, City University of New York Graduate Center, San Francisco State University, University of Michigan at Ann Arbor, University of Milwaukee, State University of New York. Odwiedzała także uczelnie w Polsce, dzieląc się swoją wszechstronną wiedzą z polskimi studentami. Przez wiele lat wykładała na Polskim Uniwersytecie na Obczyźnie (PUNO) w Londynie i od 2011-2017 była jego rektorem. Prof. Taborska jest autorką 10 publikacji książkowych i wielu artykułów naukowych.

Bolesław Taborski, ur. 1927 w Toruniu, zm. 2010 w Londynie. Był poetą, eseistą, tłumaczem, pisarzem teatralnym i profesorem w City University of New York Graduate Center. Lata okupacji niemieckiej podczas II Wojny Światowej spędził w Krakowie i Warszawie, a od 1943 był żołnierzem Armii Krajowej, Zgrupowania Pułku „Baszta". Walczył w Powstaniu Warszawskim i został ranny, po upadku powstania dostał się do niewoli niemieckiej. Po wyzwoleniu z obozu jenieckiego przeniósł się do Wielkiej Brytanii, gdzie mieszkał od 1946 roku. Studiował anglistykę i teatr na Uniwersytecie w Bristolu. W latach 1959-1993 był dziennikarzem radiowym Polskiej Sekcji BBC World Service w Londynie, gdzie napisał i wyemitował powieść radiową, wiadomości, przeglądy kulturalne i programy okolicznościowe, a przez wiele lat był producentem programu poświęconego kulturze i sztuce. Był autorem dwudziestu tomów poetyckich z lat 1957-2010, w tym anglojęzycznego tomu „For the Witnesses" („Dla świadków") (1978). Napisał szereg książek o teatrze, m.in. „Nowy Teatr Elżbietański" (1967), „Byron and the Theatre" („Byron i teatr") (1972), oraz dwie książki o Karolu Wojtyle jako poecie i dramaturgu: „Karola Wojtyły dramaturgia wnętrza" (1989) i „Wprost w moje serce uderza drogą wszystkich" (2005), a także wielokrotnie nagradzaną książkę o Powstaniu Warszawskim – „Moje powstanie wtedy i teraz" (1998). Zdobył szereg prestiżowych nagród literackich w Warszawie, Nowym Jorku, Genewie i Londynie. Nagrodę Jurzykowskiego (1968), Nagrodę Kościelskich (1977), Nagrodę Witkiewicza (1988), Nagrodę ZAIKS-u (1990, 1995), Nagrodę Stowarzyszenia Kultury Europejskiej (1998), Nagrodę Wydawnictwa Książek Historycznych „Klio" (1998). Przetłumaczył na język angielski dramaty Karola Wojtyły (papieża Jana Pawła II), trzy książki Jana Kotta (w tym słynny „Szekspir współczesny") oraz „Życie Majakowskiego" Wiktora Woroszylskiego. Przetłumaczył na język polski dwadzieścia sztuk Harolda Pintera, powieść Grahama Greene'a oraz zbiory poezji Roberta Gravesa i Roberta Lowella. Był członkiem Stowarzyszenia Pisarzy Polskich oraz PEN.

Anna Taborska to brytyjska reżyserka i pisarka horrorów. Napisała i wyreżyserowała dwa krótkie filmy fabularne, dwa filmy dokumentalne i nagrodzony dramat telewizyjny. Pracowała także przy dwudziestu innych filmach i brała udział w realizacji dwóch ważnych seriali telewizyjnych BBC: *Auschwitz: naziści i ostateczne rozwiązanie* oraz *II wojna światowa za zamkniętymi drzwiami – Stalin, naziści i Zachód*. Jej opowiadania ukazały się w ponad trzydziestu antologiach, a jej debiutancki zbiór opowiadań *For Those Who Dream Monsters* („Dla tych, którzy śnią potwory"), wydany przez Mortbury Press w 2013 roku, zdobył nagrodę Children of the Night przyznawaną przez Dracula Society i był nominowany do British Fantasy Award. Anna Taborska jest także autorką nominowanego do nagrody Stokera zbioru opowiadań *Bloody Britain*, który ukazał się w październiku 2020 r.

nakładem Shadow Publishing, a w 2023 r. zostanie wydany we włoskim tłumeczaniu przez wydawnictwo Independent Legions.

Powrót Norwida

Rozmowa z Markiem Proboszem, aktorem i reżyserem monodramu Kazimierza Brauna, nagrodzonego w listopadzie 2022 r. podczas Festiwalu United Solo w Nowym Jorku nagrodą BEST NEW YORK PREMIERE.



Marek Probosz jako Norwid w monodramie „Powrót Norwida”, Festiwal NNW w Gdyni, fot. arch. M. Probosza

Joanna Sokołowska-Gwizdka *(Austin, Teksas)*:

Monodram napisany przez prof. Kazimierza Brauna pt. “Powrót Norwida” powstał w pandemii. Jak pracuje się w izolacji, reżyserując samego siebie?

Marek Probosz *(Santa Monica, Kalifornia)*:

Bezludna wyspa zmusza do stworzenia świata wyobraźni, wysiłków, w których pojawiają się duchy tych, którzy tu byli przed nami i nie mieli łatwiejszej drogi. Norwid przyszedł do

mnie właśnie tak, z westchnień, z mocy samotności, z ciszy i skupienia, z szeptów fal oceanu, nad którym przechadzałem się co dzień, rozmawiając z nim, wsłuchując się w jego myśli, sens istnienia, bicie serca i w cały wszechświat. Kto kogo reżyserował? On mnie, czy ja jego? Nie wiem. Było nas dwóch.

Akcja sztuki Kazimierza Brauna dzieje się w przytułku w Paryżu – w Zakładzie św. Kazimierza, gdzie Norwid zamieszkał w 1877 r. W pustej celi rozgrywa się dramat emigranta, Polaka i artysty, opuszczonego, niezrozumiałego. Czy to samo miejsce jest przestrzenią Twojego spektaklu?

Akcja mojego monodramu zaczyna się w metropolii XXI wieku, mój Norwid jest współczesny, obdarty, bezdomny. Jawi się jako pielgrzym z worem na plecach. Wkracza na scenę, jakby przed chwilą ktoś przegnał go spod mostu w Nowym Jorku czy w Los Angeles. Psy wciąż za nim ujadają, jedynym bezpiecznym schronieniem jest arkusz czystego papieru pośrodku sceny, to jego wewnętrzna przestrzeń, tam przez 90 minut spektaklu pisze pamiętnik artysty…

> Ogryzmolony i w sobie pochylon –
>
> Obłędny!… ależ jakże rzeczywisty!

Czym jeszcze różni się Twój monodram od pierwowzoru ?

Kazimierz Braun przysłał mi wspaniały scenariusz, który liczył 35 stron. Nogi mi się ugięły. Wiem ile to pracy. Po kilku miesiącach ściąłem go do 18-tu stron, które były kwintesencją mojego stanu ducha. Usłyszałem swój glos, szloch i zachwyt. To minimalistyczny dialog aktora i pianistki, słowa i muzyki. Norwid pulsuje emocją i myślą w dźwiękowej rzeczywistości. Kostium, scenografia, rekwizyty, język ciała i aktorska interpretacja są dzisiejsze. Jak powiedziałem, nie stylizuję paryskiego przytułku z 1877 r., kreuję 2022 rok!

Scena ograniczona jest prostokątem białego papieru, który reprezentuje duchową i materialną rzeczywistość bohatera. To skrawek bezdomnego świata emigranta, stan jego umysłu. W świecie skrajnych napięć, buntu i żarliwej intelektualnej polemiki, papier jest szarpany, zapisywany i rwany na strzępy. Widza czekają wielkie emocje i niespodzianki.

Czesław Miłosz, laureat literackiego Nobla z 1980 r. napisał: *To wielka literatura, w której powiedziane zostało wszystko, co wciąż jest dla nas najistotniejsze. To, co Norwid mówił na każdy temat w XIX wieku, pozostaje aktualne w wieku XXI.*



Marek Probosz jako Norwid w monodramie „Powrót Norwida”, Żory, fot. Ireneusz Stajer

Co w tym tekście Ciebie najbardziej porusza?

Żona powtarza mi – *To twój autobiograficzny monodram*. Ma rację, na scenie aktor głosi przed ludźmi nie swoje słowa. Ja swoje słowa głoszę! Po amerykańskiej premierze krytyk w Nowym Jorku napisał: *Ci, którym udało się dostać na widownię Theater Row, byli pod wielkim wrażeniem tego, co zobaczyli. A w rzeczywistości mieli wrażenie, że widzą zmartwychwstałego Cypriana Kamila Norwida, który jak „feniks z popiołów” powrócił i zabłysnął niczym “gwiaździsty dyjament!”*

Miesiącami wczytywałem się w genialnego Norwida, jego bezkompromisowość w walce o wyznawane idee, wrażliwość i wizjonerstwo przyciągały mnie jak kosmiczny magnez, poruszały do krwawych łez. Jego życie i twórczość to wstrząsające dzieło!

Słuchając spowiedzi Norwida widz nie tylko ma okazję zapoznać się z tekstem poety, ale przejść przez różne etapy w jego życiu i zmierzyć się z wieloma ideami. Dowiaduje się co to jest ojczyzna, naród, kraj, patriotyzm, jak boli odrzucenie przez swoich i co się dzieje, gdy *Ideał sięgnie bruku*. Czy Norwid, którego pokazujesz w monodramie nie jest za trudny dla amerykańskiego widza, który niewiele wie o Polsce, zaborach i walce o tę wolność?

Ja ten ideał z bruku podniosłem. Wyrwałem z zapomnienia – porzucenia i przywróciłem dzisiejszemu widzowi chcąc go zachwycić i przerazić. Mój Norwid to przeszłość i teraźniejszość splecione w jedno. Dokonuje bolesnych rozliczeń: z miłością odrzuconą, społeczeństwem i krytyką, które wyszydziły jego twórczość za "zawiłość", a nawet "genialną samobójczość", z uznaniem go za wygnańca przez rosyjski carat, który odciął mu powrót do ojczyzny.

> Pytasz dlaczego z kraju wyjechałem? Wyjechałem bo artysta musi być wolny, aby

> tworzyć. Wyjechałem z kraju zniewolonego.

Słowa Norwida dotyczą nie tylko mnie, ale kolejnych pokoleń odradzającej się nieustannie emigracji, dotyczą wielu narodów, które znalazły schronienie w Ameryce. Los Norwida jest zrozumiały dzisiaj bo dotyka wartości uniwersalnych. Jego moralna koncepcja świata, wierność ideałom prawdy-dobra-piękna, zaprzeczają powszechnie panoszącej się zdradzie, nienawiści, sprzedajności i nihilizmowi. Jego odczuwanie obecności Boga, miłości jako jedynej wartości, która naprawdę istnieje i w którą warto wierzyć, jego tęsknota za rajem utraconym, dotyczy nas wszystkich, odrzucenie i wygnanie boli tak samo małych, jak i wielkich…

„*Jękły głuche kamienie na broadwayowskiej scenie*” – taki tytuł nosiła jedna z recenzji (autorem tytułu jest Stan Borys, przyp. red.). – *Otóż można było odnieść wrażenie, że na scenie nie widzimy aktora, tylko prawdziwego Cypriana Kamila Norwida. Marek Probosz tak wczuł się w rolę, że sprawiał wrażenie, że w jego ciało wstąpił duch polskiego wieszcza i to on recytuje swoją poezję oraz opowiada o swoim ciężkim i tułaczym życiu* – pisał krytyk Wojciech Maślanka.



Marek Probosz jako Norwid w monodramie „Powrót Norwida”, przy fortepianie Anna von Urbans, próba w Santa Monica, fot. Clarissa Koenig



Marek Probosz jako Norwid w monodramie „Powrót Norwida”, próba w Santa Monica, fot. Clarissa Koenig

Przed wyruszeniem z Norwidem na sceny Polski i Nowego Jorku, zrobiłem eksperyment. Zaprosiłem trzech Amerykanów nie znających słowa po polsku, na próbę generalną w Santa Monica. Po zakończeniu podeszli do mnie zapłakani, z gęsią skórą na całym ciele mówiąc – *Coś ty z nami zrobił, skoro mamy taką reakcję nie rozumiejąc języka?* Mieli jedną prośbę, abym stworzył napisy angielskie, bo wstrząśnięta publiczność będzie chciała poznać intelektualną przyczynę tak wielkich emocji. Posłuchałem ich rady. Na Festiwalu UNITED SOLO miałem napisy, *katharsis* się powtórzył, polały się świeże łzy, ale one były już dla wszystkich zrozumiałe!

Norwid ponad 30 lat żył na emigracji. Czy samemu trzeba być emigrantem, żeby zrozumieć emigranta?

Absolutnie tak! Los emigranta może zrozumieć tylko emigrant. Nie można zaświadczać o prawdzie, której się nie przeżyło. Należę do pokolenia emigrantów z czasów przed upadkiem berlińskiego muru i dostępem do Internetu, czasów kiedy kupowało się bilet w jedną stronę, a za swój wybór wolności płaciło się najwyższą cenę. Jestem w Ameryce 35 lat, moje sceniczne słowa to moje życie, poznałem co to koniec świata i nieznany szyfr nowego losu.

> Bóg jeden wie ile krzywdy i nędzy bierze się z nieuznania tej części społeczeństwa polskiego, którą jest Emigracja. Nieuznania, nie czynienia nic, aby ją przywrócić krajowi. Jakbyśmy już do niczego krajowi nie byli potrzebni.



Zapowiedź „Powrotu Norwida” w Lipnie

Monodram miał swoją prapremierę w Polsce, w Lipnie, miejscu urodzin Poli Negri, podczas 15 Festiwalu „Pola i inni”. Otrzymałeś tam statuetkę POLITKĘ 2022, a na bulwarze gwiazd odsłonięto Twoją tablicę. Jakie wrażenie zrobił monodram na miłośnikach kina niemego?

Zdecydowałem, że miejsce narodzin naszej największej gwiazdy Hollywood jest najwłaściwsze dla narodzin “Powrotu Norwida”. To był Złoty Tydzień, celebrowano sztukę niemego kina: poprowadziłem konkurs na Polę Negri 2022. Z 8 kandydatek, które przygotowały nieme sceny aktorskie z filmów naszej gwiazdy, wybrałem młodą utalentowaną dziewczynę z Włocławka.



Marek Probosz z POLITKĄ 2022 w Lipnie, fot. arch. M. Probosza



Marek Probosz jako Charlie Chaplin przy swojej tablicy na bulwarze gwiazd w Lipnie, fot. arch. M. Probosza

*

W kolejne dni odbyły się pokazy moich filmów: “Niech cię odleci mara” Andrzeja Barańskiego, “Kocham kino” Piotra Łazarkiewicza i “Śmierć rotmistrza Pileckiego” Ryszarda Bugajskiego. Ale wisienką na torcie była prapremiera “Powrotu Norwida”, na którą nie tylko przyleciała ze mną znakomita

pianistka i moja akompaniatorka z Los Angeles, Anna von Urbans, ale również specjalnie dla niej organizatorzy festiwalu sprowadzili fortepian z Warszawy! Jak Atlas trzymający na ramionach ziemię poczułem, że nie mogę tutaj Norwida roztrzaskać o ziemię, ja muszę go uwydatnić, przywrócić krajowi w natchnieniu i z miłością. Właśnie te dwa uczucia i napięcie towarzyszyły mi podczas prapremiery.

> *Do kraju tego, gdzie kruszynę chleba*
>
> *Podnoszą z ziemi przez uszanowanie*
>
> *Dla darów Nieba…*
>
> *Tęskno mi, Panie…*

W roku Poli Negri i miejscu jej urodzin, w 125-tą rocznicę jej przyjścia na świat, po prawie 200-tu latach, Norwid powrócił i jak huragan zerwał ludzi do owacji na stojaco. Recenzja grzmiała: *Poruszająca, magnetyzująca gra Marka Probosza będącego nie tylko twórcą i odtwórcą, ale samym Norwidem. Szwadrony ciar na ciele. Udźwig tego monodramu to mistrzostwo. Całe spektrum emocji i kalejdoskop reżysersko – aktorskich środków wyrazu. Przejmujące i WSPÓŁCZESNE do bólu!*

W Polsce występowałeś jeszcze podczas Festiwalu NNW w Gdyni.

Wprost z Lipna pojechałem do Gdyni, gdzie byłem jurorem międzynarodowego konkursu filmów fabularnych na Festiwalu NNW. Pracowałem z grupą wybitnych kolegów, przewodniczącą była znana amerykańska reżyserka Martha Coolidge, pozostałymi jurorami byli węgierski reżyser Denes Nagi i operator filmowy Adam Sikora. Po obejrzeniu 16-tu światowych produkcji główną nagrodę przydzieliliśmy jednogłośnie wstrząsającemu angielsko-amerykańskiemu filmowi "Mauretańczyk" w reżyseri Kevina MacDonald'a. W Gdyni miałem również spotkanie autorskie z publicznością oraz pokaz monodramu "Powrót Norwida" w Teatrze Muzycznym.



Marek Probosz jako Norwid w monodramie „Powrót Norwida”, przy fortepianie Anna von Urbans, Festiwal NNW w Gdyni, fot. Andrzej Wyrozębski



Marek Probosz jako Norwid w monodramie „Powrót Norwida”, przy fortepianie Anna von Urbans, Festiwal NNW w Gdyni, fot. arch. M. Probosza

Podczas Gali zakończenia festiwalu NNW wręczyłem główną filmową nagrodę i wystąpiłem w części artystycznej prezentując norwidowski “Fortepian Chopina”. Każde z tych wydarzeń było czymś nadzwyczajnym. Bo Norwid po raz kolejny odnalazł szczęście w sercach owacyjnie przyjmującej go publiczności. Jakże Oni są go spragnieni, pomyślałem. Jakże ważny jest “Powrót Norwida” tu i teraz. Zachwyca i zapiera dech w piersiach. Jego słowa i myśli jak strugi deszczu spływają rześkim,

oczyszczającym strumieniem do ludzkich serc bez względu na ich wiek i pochodzenie… *Albowiem granicami narodów, granic pozbawionych są serca i charaktery ludzi!*

Występowałeś również w rodzinnej Istebnej i w Żorach na Śląsku, gdzie się urodziłeś.

Żona powiedziała mi – *Twoja 88-letnia mama nie mogła przyjechać do Lipna ani do Gdyni, masz więc moralny obowiązek ty do niej pojechać. Powrócić do swoich gór z Norwidem*. Oboje wiedzieliśmy, mama Franciszka miała sen, że siedziała w pierwszym rzędzie w teatrze i oglądała mnie na scenie, swojego "Norwidka". Musiałem spełnić matczyne marzenie, zagrać dla niej w Kurorcie Złoty Groń w Istebnej. Tam skąd widok rozpościera się na całą koronę naszych beskidzkich groni. Stał się cud! Już nie z pianistką i fortepianem, ale z wirtuozem ludowych instrumentów, Zbyszkiem Wałachem, który mi akompaniował, stworzyliśmy niezapomniane widowisko. I znów zachwyty, świetne recenzje, stojące owacje, tylko że tym razem wszyscy byli również świadkami spełnionego marzenia mojej kochanej matki. Kiedy podzieliłem się po spektaklu ze sceny z publicznością tą wiadomością i zaprosiłem mamę na scenę oraz wręczyłem jej kwiaty, owacjom i łzom nie było końca.



Marek Probosz jako Norwid w monodramie „Powrót Norwida”, Istebna, fot. Michał Kuźma



Marek Probosz po spektaklu z Mamą, Istebna, fot. Michał Kuźma

Z Istebnej pojechaliśmy do Żor, które świętowały 750-lecie nadania praw miejskich. Ze sceny w Miejskim Domu Kultury, gdzie w 1967 roku zagrałem w Teatrzyku Baśni swoją pierwszą rolę Błazna w "Księżniczce na ziarnku grochu" Andersena, zaprezentowałem "Fortepian Chopina" Norwida, a później miałem spotkanie z rozentuzjazmowaną publicznością i kołem teatralnym. Powrót do korzeni, spojrzenie wstecz z perspektywy czasu i doświadczeń, wytworzyło jakieś niepowtarzalne "pole magnetyczne", którym wszyscy byli zainspirowani.

Po powrocie z Polski, 13 listopada miałeś amerykańską premierę na największym festiwalu monodramów na świecie UNITED SOLO w Nowym Jorku i zdobyłeś nagrodę! To wspaniała wiadomość, z całego serca Ci gratuluję! Opowiedz o tym wydarzeniu i towarzyszących mu emocjach.

Serdecznie dziękuję. UNITED SOLO to kolos sztuki jednego aktora. W tym roku w konkursie wzięło udział około 90 spektakli z 6 kontynentów. Zdobycie w takiej konkurencji nagrody: BEST NEW YORK PREMIERE, to niesamowite wyróżnienie i ukoronowanie morderczej pracy.

Monodram to najtrudniejsza forma sztuki aktorskiej. Tutaj nie ma się gdzie, ani za kogo schować. “Powrót Norwida”, to 90 minut solo na scenie. To bosy maraton po rozgrzanych węglach, w transcendentalnym stanie, z wiarą w zwycięstwo niemożliwego. To prawdziwe życie!

> *Bo nie jest światło, by pod korcem stało,*
>
> *Ani sól ziemi do przypraw kuchennych,*
>
> *Bo piękno na to jest by zachwycało*

> *Do pracy – praca, by się zmartwychwstało…*



Marek Probosz jako Norwid w monodramie „Powrót Norwida”, Theater Row, Nowy Jork, Festiwal UNITED SOLO, fot. Zosia Zeleska-Bobrowski

Kiedy publiczność nagrodziła mnie długą owacją na stojąco, wróciłem do rzeczywistości, zlany potem, oszołomiony ich wrzawą, która dowodziła, że spektakl był czymś wyjątkowym, próbowałem opanować emocje, jakbym budził się z narkozy po operacji przeszczepu serca. Udało się z poezji zrobić super poezję! To był obezwładniający błogostan, ekstaza spełnienia.

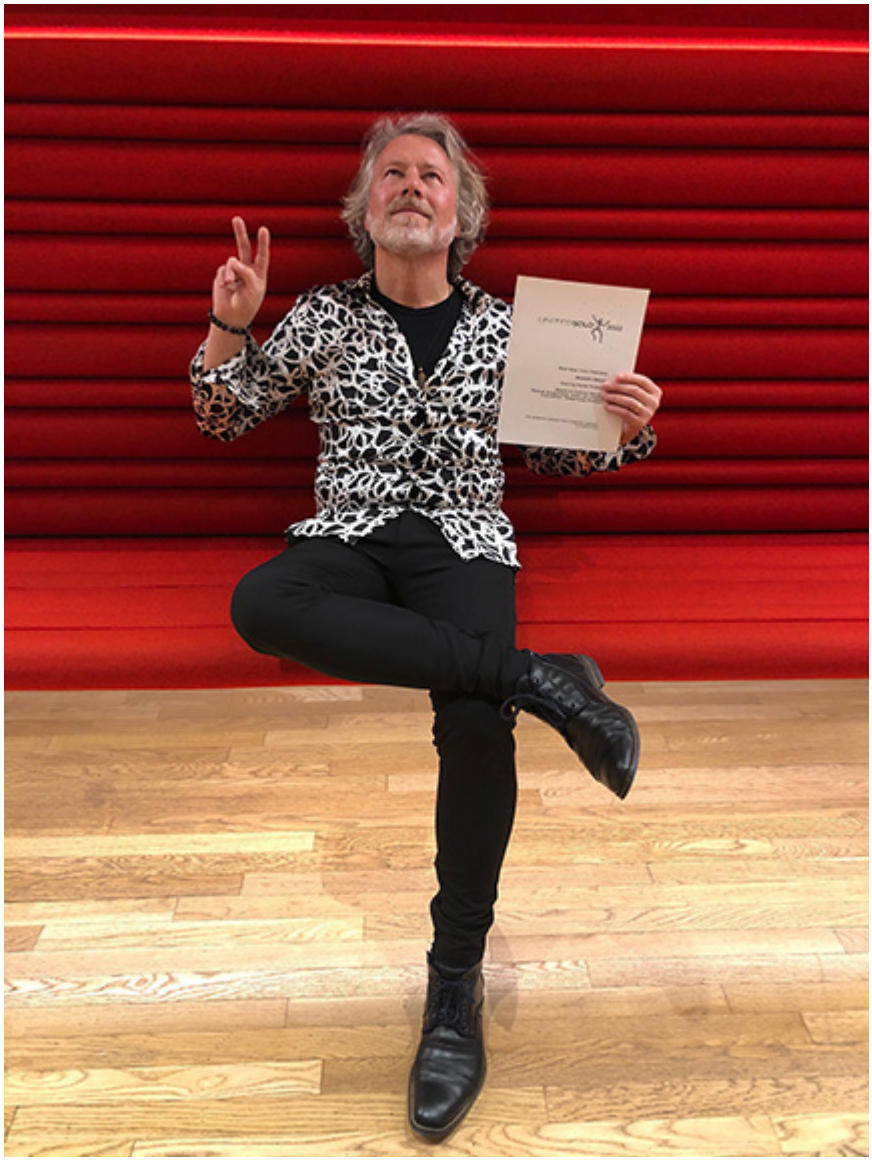
Już drugi raz otrzymałeś nagrodę na tym festiwalu. W 2018 roku zostałeś nagrodzony za spektakl o rotmistrzu Witoldzie Pileckim "Ochotnik do Auschwitz". To są sztuki o różnej tematyce, różnych postaciach i różnych przesłaniach. Co te monodramy wyróżnia, że przykuły uwagę jurorów? Co je łączy?

Mój wybór bohaterów nie jest przypadkowy. Oba monodramy opowiadają o dramatycznych losach geniuszy i wizjonerów, którzy poświęcili życie dla człowieczeństwa i sztuki.

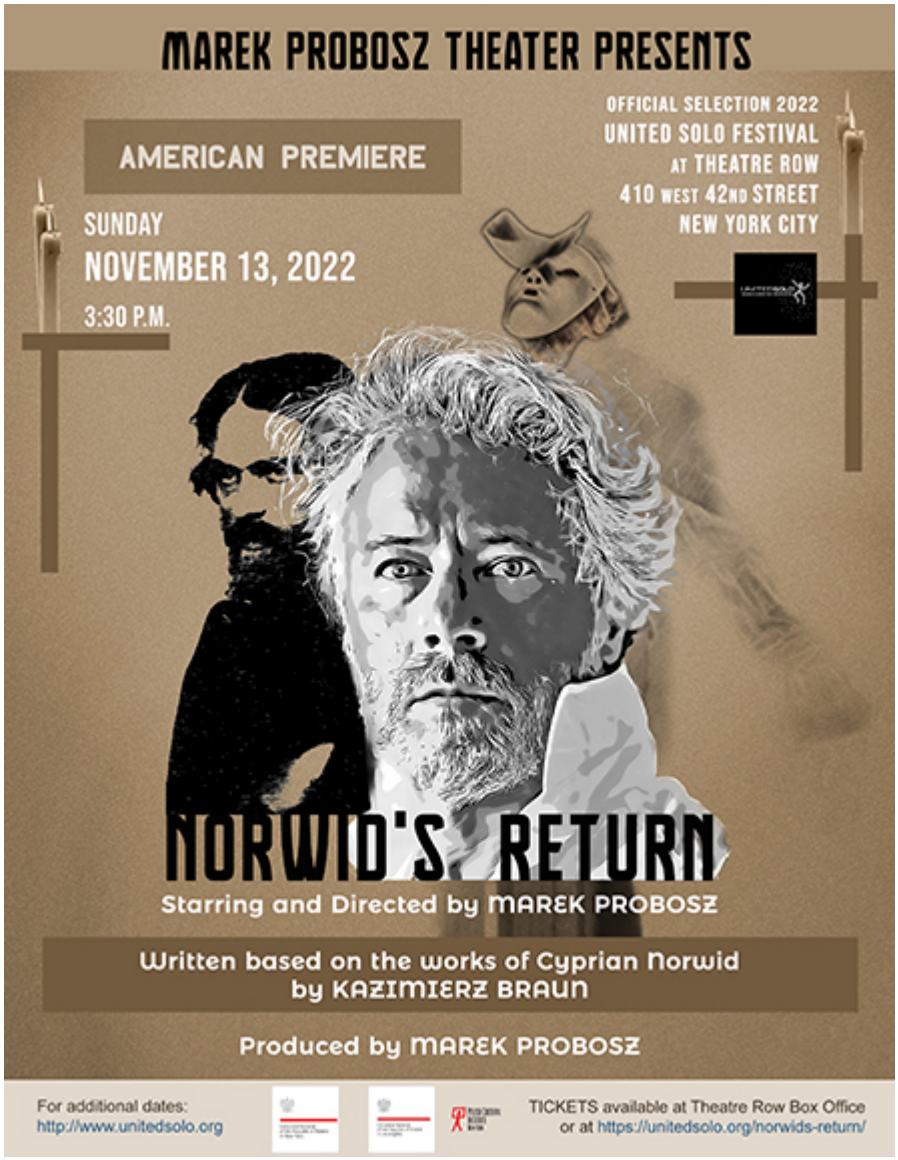
> Krew naszych braci wylaną była, aby ci, co po ich śmierciach żyć będą, byli wolni, szczęśliwi i wyżsi.

W 2018 roku zdecydowałem się wyreżyserować i wykonać monodram o rotmistrzu Pileckim, bo była historyczna okazja, możliwość opowiedzenia o jedynym ochotniku do Auschwitz w 100 rocznicę odzyskania Niepodległości Polski! Zostałem przyjęty na największy festiwal monodramów na świecie UNITED SOLO. Do konkursu stanęło 130 spektakli z 6 kontynentów! Światowa premiera Pileckiego odbyła się w niedzielę 11-go listopada. Wydarzył się cud! Bilety wyprzedane, widzowie zahipnotyzowani, długie stojące owacje. Krytyka Broadway'u oceniła monodram maksymalną ilością 5 gwiazdek. Prasa pisała: „Tego spektaklu nie można przegapić!", „Pilecki to trzęsienie

ziemi w Nowym Jorku!”



Marek Probosz z nagrodą BEST NEW YORK PREMIERE, Theater Row, Nowy Jork, Festiwal UNITED SOLO, fot. Gosia Probosz



Projekt plakatu: Lucyna Przasnyski

*

Wygrałem nagrodę: BEST DOCUMENTARY SHOW. Powtórzę za Tołstojem: *Dzieło sztuki jest dobre lub złe zależnie od tego, o czym i jak mówi oraz w jakim stopniu płynie to z serca artysty…* Wielcy bohaterowie wymagają wielkiego wysiłku, ale to właśnie oni pozostają w sercach najdłużej. Żona mówi – *To oni sobie ciebie wybierają*. I znów nie mogę jej zaprzeczyć. Oni swoim

istnieniem, pracą, poświęceniem, ofiarowaniem życia, przezwyciężyli niemoc i strach. Są jak błyszczące ostrze, które przenika mroki dziejów. *Syn minie pismo, lecz ty wspomnisz wnuku!*

Wielcy nie mówią o swojej wielkości, życiem tworzą arcydzieła. Odrzuceni i potępieni przez głupców, niezrozumiani przez przeciętność, zdobywają życie wieczne jak Pilecki, jak Norwid, zadziwiają współczesnych dalekosiężnością swoich wizji, pozostając tajemnicą dla samych siebie. Są genialni, ponadczasowi, i to właśnie ich łączy, przykuwa uwagę i wywiera silne wrażenie na publiczności i jurorach.

Związałem swoje artystyczne życie z rotmistrzem Pileckim wcielając się w niego po raz pierwszy w filmie "Śmierć rotmistrza Pileckiego" Ryszarda Bugajskiego. Potem były radiowe, multimedialne i teatralne wcielenia. Od 17 lat wędruję z Pileckim po całym globie, uniwersytetach, festiwalach, muzeach holocaustu, katedrach, kościołach… przekazuję dalej jego ideały i niezłomną postawę w walce o wolność wszystkich narodów. Jednym z owoców mojej misji „Pilecki", jest utworzone za prywatne pieniądze urodzonego w US syna polskich emigrantów, Stypendium im. Rotmistrza Witolda Pileckiego w Saint Thomas Akademy w Minnesocie. Co roku jeden student będzie kształcił się z historii, kultury i języka polskiego. Warunkiem otrzymania stypendium jest co najmniej 50% krwi

polskiej, obejrzenie filmu “Śmierć rotmistrza Pileckiego”, przeczytanie jednej z dwóch wydanych po angielsku książek o Pileckim i napisanie pracy na ten temat. Będę honorowym gościem ceremonii i wręczę pierwszemu studentowi stypendium w maju 2023 r.

Teraz związałem się z Norwidem, nasza podróż trwa dopiero od roku, ale wiem, że będziemy pielgrzymować dalej, bez końca:

> *Przecież ja – aż w nieba łonie trwam,*
>
> *Gdy ono duszę mą porywa*
>
> *Jak piramidę!*
>
> *Przecież i ja – ziemi tyle mam,*
>
> *Ile jej stopa ma pokrywa,*
>
> *Dopókąd idę!…*



Marek Probosz z żoną Gosią podczas Gali rozdania nagród, Theater Row, Nowy Jork, Festiwal UNITED SOLO 2022, fot. arch. M. Probosza

Gdy otrzymałeś statuetkę Złota Sowę w Wiedniu w 2018 r. przytoczyłeś skierowane do przyjaciela słowa swojego dziadka, Jerzego Probosza, pisarza i poety, zamordowanego w obozie koncentracyjnym w Dachau:

> *Życzę ci z serca mocy*

> *Abyś co dzień i w nocy*
>
> *Wytrwał! Wytrwał!! Wytrwał!!!*
>
> *Choćbyś miał ziemskie ciało w proch spalić,*
>
> *Musisz ducha ocalić…*

Mam wrażenie, że postacie, z którymi się utożsamiasz na scenie, Pilecki czy Norwid, właśnie należą do tej grupy, którym ducha udało się ocalić. I dlatego je wybrałeś. Czy tak?

Pilecki w ostatnich godzinach życia wyrył na ścianie więzienia na Rakowieckiej: *Starałem się żyć tak, abym w godzinie śmierci mógł się raczej cieszyć niż lękać*. Norwid powiedział w wierszu:

> *Gorejąc nie wiesz, czy? Stawasz się wolny,*
>
> *Czy to co twoje, ma być zatracone?*
>
> *Czy popiół tylko zostanie i zamęt,*
>
> *Co idzie w przepaść z burzą? – Czy zostanie*

> *Na dnie popiołu gwiaździsty dyjament,*
>
> *Wiekuistego zwycięstwa zaranie!…*

Tak! Ocalić ducha! To moje życiowe motto. Staram się przekazać je dalej poprzez bohaterów, w których się wcielam, wychowując swoje dzieci, pracując ze studentami, podczas spotkań z widzami na całym świecie, napisane książki. Im staję się starszy, tym bardziej dociera do mnie: *Najszczęśliwszy jest ten sposób życia, który daje nam najwięcej możliwości zdobycia szacunku dla samego siebie*. (Samuel Johnson)

Rozmawiała: Joanna Sokołowska-Gwizdka

*

Zobacz też:

> Rotmistrz Witold Pilecki na Broadway'u

> Oświęcim to była igraszka

Rok 2023 – rokiem Wisławy Szymborskiej



Wisława Szymborska, Kraków 2009, fot. Wikimedia Commons

Senat Rzeczypospolitej Polskiej zdecydował, że patronką roku 2023 będzie Wisława Szymborska. W 2023 roku obodzić będziemy 100-tną rocznicę jej urodzin.

Poetka urodziła się drugiego lipca 1923 roku w Kórniku w Wielkopolsce. Jest laureatką literackiej Nagrody Nobla (1996), została również uhonorowana najwyższym odznaczeniem państwowym − Orderem Orła Białego. Jej wiersze przetłumaczono na ponad czterdzieści języków.

Jubileusz będzie szczególnie świętowany w Krakowie, mieście, gdzie Wisława Szymborska spędziła większość swojego życia i gdzie działa Fundacja powołana na podstawie zapisu testamentowego poetki, która opiekuje się jej spuścizną. Organizowane będą też liczne wydarzenia literackie w kraju i za granicą.

*

Wiersz współczesnego brytyjskiego poety Michaela Swena, napisany pod wpływem twóczości Wisławy Szymborskiej w tłumaczeniu Anny Marii Mickiewicz z Londynu.

> **Hołd dla Wisławy Szymborskiej**
>
> Kiedy to wszystko się rozpada
>
> lub spala się

lub zastyga

(naukowcy jeszcze nie uzgodnili,

która z tych rzeczy się stanie),

to mało prawdopodobne

że wszystko zniknie.

Na pewno pozostanie,

dryfując tu i tam

przez niezgłębione zakątki

roztrzaskanej przestrzeni,

trochę małych pamiątek

tego, kim byliśmy.

Może odrobinę taktów

z trzeciej partity;

kilka spinek do włosów;

bączek,

który wciąż się kręci;

horoskop;

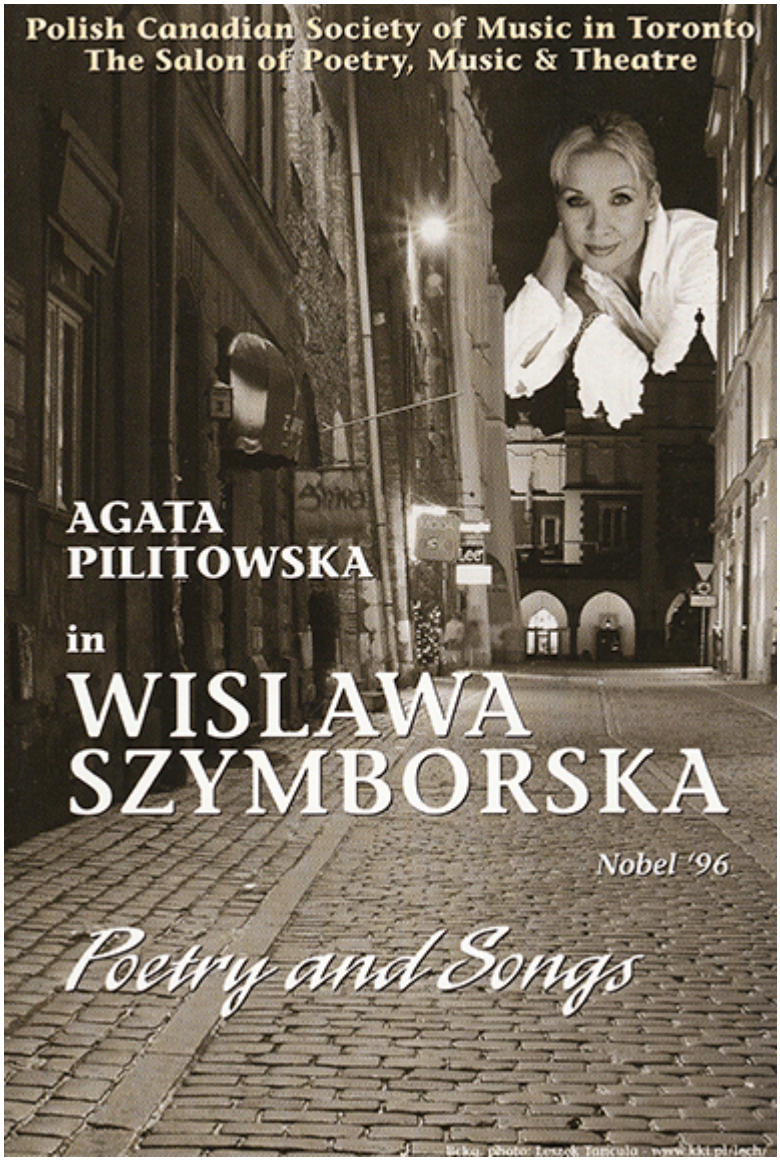
koń Tang;

czyjaś ostatnia pieszczota;

i jeden z twoich wierszy.

© *Michael Swan 2019*,
tłum. Anna Maria Mickiewicz

Fragment książki Joanny Sokołowskiej-Gwizdka „Teatr spełnionych nadziei. Karki z życia emigracyjnej sceny (Novae Res 2016) na temat spektaklu teatralnego, który powstał w Toronto inspirowanego twórczością Wisławy Szymborskiej.



*

Wisława Szymborska – poetycki portret Noblistki

Salon Poezji i Muzyki wystawił„Szymborską” po raz pierwszy w 1996 roku, kiedy poetka otrzymala Nagrodę Nobla. Był to wieczór poświęcony poezji, powstały spontanicznie i na gorąco, przygotowany w ogromnym tempie i zaprezentowany w Konsulacie Generalnym w Toronto. W niedługim czasie, miało miejsce drugie przedstawienie, wzbogacone o oprawę muzyczną

przez Jerzego Boskiego i Dariusza Króla. Odbyło się ono w nowo otwartej, a później znanej, cenionej i kulturotwórczej Galerii PKO w Toronto na Bloor Street West, w pięknej przestrzeni ze specjalnie do tego celu zaaranżowaną widownią, pośród rzeźb aktualnej ekspozycji. Potem doszedł obraz. Spektakl z monologu jednego aktora, przerodził się w widowisko słowno-muzyczne, pełne krakowskich klimatów.

Maria i Agata zwróciły się do Leszka Szurkowskiego, fotografika i grafika komputerowego, w którego archiwum znalazły miejsca korespondujące z wierszami Szymborskiej.

Maria Nowotarska:

Niektóre momenty tego przedstawienia niosą szczególną siłę ekspresji. Np. fotografia przedstawiająca wejście do katakumb kościoła Pijarów, na końcu ulicy Św. Jana, przywołuje moje wspomnienia. Gdy byłam dzieckiem, może jeszcze podczas okupacji, w okresie wielkanocnym, odwiedzało się groby Chrystusa w kościołach. W podziemiach koscioła Pijarów, był jeden z najpiękniejszych grobów, jakie pamiętam, zawsze pełen białych kwiatów. Widzę bramę, prowadzącą do katakumb, która przy całym bogactwie tego barokowego kościoła, była dramatycznie smutna. I właśnie tak ją sfotografował Leszek Szurkowski.

***

Agata mówi przejmujący wiersz „Koniec świata”, prawie jej nie widać, wtapia się w czarną bramę. Obraz wywołuje duże wrażenie.

Podobnie komponuje się obraz cmentarza żydowskiego, ze „ścianą płaczu” zbudowaną ze starych nagrobków, z wierszem „W zaplombowanych wagonach”, z muzyką z żydowskimi elementami. Agata stoi na tle ściany, śpiewa o stukocie kół pociągu, wymienia imiona, widz odnosi wrażenie jakby poezja była zwielokrotniona poprzez siłę różnych środków wyrazu.

W spektaklu pojawiają się mniej dramatyczne elementy, spacer dorożką po Krakowie, zaułki i tajemnice miasta, poezja zostaje wzbogacona poprzez elementy teatralne. Np. w wierszu o kobiecie zranionej przez utraconą miłość, która umarła, choć fizycznie żyje. Na scenie pojawia się okno pełne kwiatów na ulicy Kanoniczej. Widz domyśla się, że bohaterka wiersza jest w środku. Agata, prawie niewidoczna, stoi pod oknem, po czym wchodzi do środka i czesze włosy, które rosną za każdym pociągnięciem grzebienia.

Agata w spektaklu nie gra Szymborskiej, nie udaje poetki. Jest po prostu człowiekiem pochłoniętym jej poezją. Za pomocą słów porozumiewa się i wyraża swoje uczucia. Sama wybierała teksty,

bo jak twierdzi, nie umie mówić wiersza, którego nie rozumie.

Agata Pilitowska:

W spektaklu tym są wiersze, do których jestem bardzo przywiązana. Czym częściej je mówię, tym bardziej cieszę się, że mogę je przekazać. Spotkałam się z wieloma komentarzami, że spektakl zbliża odbiorcę do Szymborskiej i sprawia, że poetka staje się bardziej zrozumiała. Ja sama też tego doświadczyłam, myślę, że dzięki temu, że weszłam głębiej w przedstawienie, bardziej czuję i rozumiem tę poezję.

Co jeszcze kierowało moim wyborem? Chciałam pokazać piękno słowa i podzielić się tym z widzem. Wybrałam wiersze z różnych tomików, aby widz mógł poznać różne etapy twórczości Szymborskiej. Myślę jednak, że najważniejszą rzeczą, którą mam nadzieję udało mi się uchwycić, jest wyraźna i odrębna, specyficzna dla Szymborskiej filozofia życia, zainteresowanie szczegółem, stosunek do ludzi, uczuć. Niektórzy mówią, że poetka jest zimna, ale ja tego w jej twórczości nie widzę. Szymborska pokazuje w swoich wierszach ulotność życia, oddaje te chwile, w których człowiek jest na ziemi, poddaje pod dyskusję, czy my jesteśmy tylko doświadczalnym materiałem, kontrolowanym przez jakąś niewidzialną siłę. Jej wiersze są proste w konstrukcji, ale skomplikowane w treści i wieloznaczne.

***

Przedstawienie grane było w wielu miejscach, począwszy od Toronto i Mississaugi , przez Montreal , do Calgary, Edmonton i Winnipeg, a skończywszy na Buffalo, Waszyngtonie, San Diego, czy Phoenix w Arizonie. Agata Pilitowska zapraszana była na Uniwersytety w Calgary , Edmonton i Buffalo. Wszędzie przedstawienie było przyjmowane z dużym aplauzem i to zarówno w wersji polskiej, jak i angielskiej, w tłumaczeniu Stanisława Barańczaka. Wyróżniono je nawet jako jedno z siedmiu najciekawszych wydarzeń artystycznych 1997 roku w Calgary.

Agata Pilitowska występowała też w ramach International Writers Festival w Ottawie , gdzie miała miejsce prezentacja kultur nowych krajów członkowskich Unii Europejskiej. Spektakl pokazujący twórczość Noblistki był jedynym, który przedstawił na szerokim, międzynarodowym forum polską kulturę.

Maria Nowotarska:

„Szymborska" według mnie najlepiej została pokazana właśnie w Ottawie. Pojechał z nami Krzysztof Sajdak – specjalista od światła i dźwięku. Stworzył on wyrazisty obraz przestrzeni. Agata była oświetlona jednym reflektorem, który za nią chodził i ją ujawniał. Dało to bardzo piękny efekt artystyczny.

*

Przypisy:

[1] *Wisława Szymborska. Nobel 96. Wybór tekstów, recytacja i śpiew: Agata Pilitowska. Muzyka: Jerzy Boski i Dariusz Król. Oprawa plastyczna: Leszek Szurkowski, Dyrektor artystyczny: Maria Nowotarska. Prapremiera: 4.04.1997 – Wisława Szymborska. Nobel 1996 (wersja polska), 29.09.1997 – (wersja angielska). Tłumaczenie: Stanisław Barańczak.*

[2] *Wisława Szymborska – Nobel 96, 4 kwietnia 1997, Centrum Jana Pawła, Mississauga oraz 22 January 98, Living Art Centre, Mississauga. (Festival of Polish Culture).*

[3] *A musical tribute to Wisława Szymborska. 1996 Nobel Laureate. Performed By Agata Pilitowska & Dariusz Król, Concordia University, April 29, 1997. (The Leonardo Project).*

[4] *University of Calgary, November 23 1997.*

[5]*„Szymborska – Nobel 96", International Writers Festival, Ottawa, dyr. Neil Wilson, współudział Ambasada Polska w Ottawie, 12 maja 2004, National Library and Archive, 395*

Wellington St.



Książkę Joanny Sokołowskiej-Gwizdka można kupić przez Amazon lub bezpośrednio od autorki klikając na okładkę książki na głównej stronie magazynu „Culture Avenue". W Polsce książka jest dostępna w księgarniach, po uprzednim zamówieniu.

*

Zobacz też:

> Spotkanie z Wisławą Szymborską

„Teatr spełnionych nadziei” – opowieść o polskim teatrze w Toronto.

Więcej niż monografia. „Teatr spełnionych nadziei” Joanny Sokołowskiej-Gwizdka.

Grudzień w klimacie Bożego Narodzenia



Jarmark świąteczny, fot. pixabay

Włodzimierz Wójcik *(Sosnowiec)*

W tym miesiącu dość często chodzimy po grudzie, czyli po ziemi, która stężała pod wpływem mrozu. Takie poruszanie się bywa uciążliwe. Powierzchnia ziemi bywa nieforemna, pełna nierówności. Piszę „dość często” ponieważ obecnie, kiedy nastąpiło ocieplenie klimatu… i wielkie lodowce topnieją, grudniowa pogoda bywa wielekroć rozmazana mgłami, wilgocią, dokuczliwym deszczem. Dawniej? Dawniej bywały pory roku typowe. Zimą mróz i śnieżyce. A wiosna cieszyła słońcem, zachwycała kaczeńcami i krokusami.

Początek grudnia upływa pod znakiem święta górniczego zwanego „Barbórką”. Właśnie Święta Barbara jest opiekunką „Zakonu Górniczego”.

Dwa dni po górniczym świętowaniu przychodzi wieczór szczególnie niecierpliwie wyczekiwany przez dzieci. Mówię wyraźnie: Święty Mikołaj. Nie żaden „Dziadek Mróz” idący ze Wschodu, tym bardziej nie jakieś „Mikołajki” – jak to określają niektóre zmanierowane spikerki z polskiego radia czy telewizji. Święty Mikołaj zjawia się w domach w sposób tajemniczy.

Grudzień 2022 roku znaczony jest 155 rocznicą urodzin Marszałka Józefa Piłsudskiego, który przyszedł na świat 5 grudnia 1867 w Żułowie na Litwie. To on, otoczony z dawna prawdziwą legendą, wyrąbał szablą polskie szlaki do Niepodległości. Jestem dumny z tego, że pochodzę z rodziny pepeesowsko-piłsudczykowskiej. Zrozumiałe jest wiec to, że olbrzymi obszar pracy naukowo-badawczej, popularyzatorskiej i pisarskiej poświęciłem legendzie „Komendanta”, wielekroć nazywanego po prostu „Dziadkiem”.

W moim życiu musiałem też znosić smutki grudnia. W tym miesiącu odchodzili od nas na zawsze bardzo mi bliscy ludzie pióra. Zmarli: 5 grudnia 1925 Władysław Stanisław Reymont w Warszawie, 17 grudnia 1954 Zofia Nałkowska. Konstanty Ildefons Gałczyński odszedł 6 grudnia 1953, Julian Tuwim 29

grudnia 1953. Wydarzenia Grudniowe na Wybrzeżu też niosły dojmujący ból po śmierci wielu stoczniowców. Stan wojenny ogłoszony 13 grudnia 1981 roku też przecież przyniósł ludzkie cierpienia i wielorakie rozterki i konflikty. Wielu ludzi „z lewa" (Edward Gierek) i „z prawa" (Lech Wałęsa) internowano. Ostatecznie ludowy bohater, Wałęsa został prezydentem i dokonał tego, czego nie dokonali niektórzy przywódcy mocarstw zachodnich. Prowadząc jemu tylko znanymi sposobami „gry wojenne" z Borysem Jelcynem w rezultacie wyprowadził drogą pokojową wojska radzieckie z Polski, a właściwie z Europy. Nigdy nie byłem jego wielbicielem, ale darzę go uznaniem. To jest bohater narodowy. Piękne to były dni, kiedy ostatnich żołnierzy radzieckich polska żegnała kwiatami. Wałęsa to taka Joanna Darc. Ona zginęła na stosie. Wałęsie nie stos całopalny się należy, ale długie, szczęśliwe życie. W przyszłości kopiec na wzór Kopca Piłsudskiego w Krakowie.

Zmieniając tonację wróćmy do tego, co nie jest tak bolesne. Do przysłów, trwających nie dziesięciolecia, ale stulecia. Oto one: „Grudzień brudzień"; „Czerwiec stały, grudzień doskonały"; „Święta Łuca [13 grudnia] dnia dorzuca"; „Grudzień to największy leń, bo najkrótszy dzień"; „Święta Barbara po wodzie, Boże Narodzenie po lodzie"; „Grudzień jak łagodny wszędzie, cała zima dzieckiem będzie"; „Grudzień to miesiąc zawiły, czasem srogi, czasem miły; „Jeśli bociany do Michała zostały, nie będzie mrozów przez grudzień cały".

Od wielu lat żyłem i żyję tymi barwnymi przysłowiami. Dochodziły do tego wierszyki i piosenki „grudniowo-zimowe: Piosenka L. Miklaszewskiego do słów M. Łachockiej ukazywała mi w dzieciństwie uroki zimy:

> Jedzie grudzień po grudzie,
>
> ale w drogę wziął sani.
>
> Hej, pomóżcie mi ludzie,
>
> bo mi konik ustanie.
>
> […]
>
> Panie grudniu, wstąp do nas,
>
> na śnieg trochę poczekaj.
>
> Biała zima zamglona
>
> idzie lasem z daleka

*



Grudniowy świąteczny klimat, fot. pixabay

Cały grudzień, tak bogaty w zdarzenia, rocznice, popularne imieniny szczególnie był znaczony klimatem oczekiwań na Wigilię i Boże Narodzenie. W owym czasie, zwanym adwentem ludzie szczególnie zbliżali się do siebie. Chętnie w gronie moich rówieśników – były to lata wczesnej młodości – sięgaliśmy po utwory polskich klasyków poświęcone obyczajowości bożonarodzeniowej. Od wielu tygodni robiliśmy choinkowe łańcuchy, przygotowywaliśmy specjalne koszyczki na pachnące jabłka i orzechy włoskie. Z kasztanowców powstawały wymyślne figurki, jakieś „ludziki" i zwierzątka. Długie cukierki choinkowe musiały obowiązkowo być owinięte karbowaną bibułą. Babcie i mamy przygotowywały wypieki. Cały zaśnieżony świat pachniał

tak zwanymi „towarami kolonialnymi” niczym w „Sklepach cynamonowych” Schulza. Co pewien czas zaglądało się – głównie w wiejskich chatach – na poddasze, gdzie „dochodziły” tak zwane „swojskie” szynki. Potem wieczór pełen członków rodziny, paląca się choinka, życzenia, prezenty i obowiązkowo, a z przyjemnością śpiewane kolędy. Wychodzenie po skrzypiącym pod butami śniegu na Pasterkę stanowiło prawdziwą poezję.

Ostatni dzień grudnia to imieniny Sylwestra. Ten dzień niesie ze sobą refleksje związane z bilansowaniem mijającego roku. Znaczony jest hucznymi zabawami, balami, wymyślnymi imprezami. W mediach stary rok ukazywany jest w postaci brodatego dziadka, który przekazuje władzę nad przyszłością Nowemu Rokowi, symbolizowanemu przez pyzatego, filuternego dzieciaka. Po uderzeniach zegara, po wystrzałach korków z szampana, po feerii sztucznych ogni, po złożeniu sobie serdecznych życzeń, wysłuchaniu hymnu narodowego stajemy na progu stycznia, w dzień imienin Mieczysława. Trochę „zawiani”, niekiedy tylko na małym rauszu, ale pełni nadziei…

Prof. Włodzimierz Wójcik (1932-2012) – *historyk literatury, krytyk, eseista, autor prac o współczesnej literaturze polskiej, profesor honorowy Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach.*

*

Zobacz też:

> Listopad świąteczny i waleczny

Dorota Górczyńska-Bacik i Remigiusz Juśkiewicz na Międzynarodowym

Festiwalu Monospektakli MonoWschód w Wilnie



Wilno, fot. arch. Doroty Górczyńskiej-Bacik

Agnieszka Kuchnia-Wołosiewicz *(Wielka Brytania)*

„Najważniejszy jest aktor!”– pod takim hasłem został oficjalnie

otwarty i zamknięty 6. Międzynarodowy Festiwal Monospektakli MonoWschód, który odbywał się od 26 października do 30 października 2022 roku na Litwie. Spektakle prezentowane były przede wszystkim w Wilnie, ale także w Trokach i Rudominie. Z tej okazji, podobnie jak w ubiegłych latach, wschodnich sąsiadów Polski odwiedziła, mieszkająca na co dzień w Wielkiej Brytanii, Dorota Górczyńska-Bacik (aktorka, poetka, malarka, dyrektor polonijnego *Teatru Katharsis*) wraz z Remigiuszem Juśkiewiczem (muzykiem, wokalistą i kompozytorem, autorem audycji muzyczno-kulturalnej *Remiza* oraz laureatem 3. nagrody Międzynarodowego Festiwalu Piosenki Sanremo Senior ’22).



Festiwal Monospektakli w Wilnie, fot. arch. Doroty Górczyńskiej-Bacik

Artyści zaprezetnowali program pt. *Nie-dopasowana do dźwięków,* inspirowany tytułem najnowszego tomiku Doroty.

Publiczność zachwyciła się ich występem, którym zabrali widzów w świat poezji i muzyki. Z całą pewnością wrócą więc do Wilna za rok. Poetka, choć wystąpiła w duecie, z całą pewnością swoją aktorską interpretacją własnych utworów lirycznych wpisała się w królujący na festiwalu monodram, dający niepowtarzalną okazję do zaprezentowania pełnego wachlarza jej umiejętności. Jest to tzw. „solo estradowe" – gatunek trudny i wymagający, ale jednocześnie przynoszący szczególną satysfakcję. Prezentacja Doroty i Remiego stanowiła jeden z najbardziej muzycznych spektakli zaprezentowanych tego roku, obok *Być jak Charlie Chaplin* w wyk. Mateusza Deskiewicza (solisty Teatru Muzycznego w Gdyni). Warto podkreślić, że śpiewu było znacznie więcej m.in. za sprawą Stanley'a Łopuszyńskiego i Doroty Sacewicz, którzy prowadzili wieczorny program pt. *Pieśń, Kabaret, Recital*.

– *Wilno, kochane Wilno!* – mówi Dorota Górczyńska-Bacik zapytana o emocje, jakie towarzyszyły jej w tym roku, dodając – *Trudno w kilku zdaniach powiedzieć o tym, wszystkim czego za każdym razem doświadczam podczas Festiwalu. Mogłabym opowiadać godzinami. Jestem szczęśliwa, że mogę być częścią tego przedsięwzięcia, a od pewnego czasu towarzyszy mi też mój serdeczny przyjaciel i muzyk, Remi Juśkiewicz.*

– Mamy już w stolicy Litwy swoją publiczność. Pamiętają nasze piosenki sprzed roku, śpiewaja z nami również te nowe. Czego

tu chcieć więcej? – żartuje Remi Juśkiewicz, jednocześnie podkreślając – *Dla mnie ważne były, poza doznaniami artystycznymi, warsztaty multimedialne, które mogą pomóc mi w rozwijaniu audycji „Remiza”.*



Wilno, Ostra Brama, fot. arch. Doroty Górczyńskiej-Bacik

Program tegorocznego festiwalu był niezwykle bogaty: spektakle, recitale, warsztaty teartalne, spotkania z artystami i twórcami, którzy przyjechali z kilku krajów europejskich: Anglii, Litwy, Niemiec, Polski, Szkocji i Ukrainy.

– Celem projektu jest stworzenie aktorowi szansy spotkania sam na sam z widzem, by się mógł dla nich otworzyć, podzielić się swoimi przeżyciami, problemami i krytycznym spojrzeniem na coraz trudniejszą rzeczywistość. Tym samym widz ma szansę na odróżnienie dobra od zła – mówi Lila Kiejzik, dyrektorka Polskiego Teatru „Studio" w Wilnie i tegorocznego Festiwalu MonoWschód.

Organizatorem wydarzenia był Polski Teatr „Studio" w Wilnie przy wsparciu Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie", a finansowany ze środków Kancelarii Prezesa Rady Ministrów RP w ramach konkursu „Polonia i Polacy za Granicą 2022". Odbywał się on pod patronatem honorowym Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego prof. Piotra Glińskiego.

https://kuchniawolosiewicz.blogspot.com/

Artykuł publikowany był w „Kulturze" i „Polonia24".

*

Zobacz też:

> „Piosenki na koniec tygodnia" – projekt muzyczny Remiego Juśkiewicza z Londynu

Spotkania z poezją – projekt literacki Doroty Górczyńskiej-Bacik z Dunstable, UK